POEZYJE

POEZYJE

PRZEZ

A. S.-S.

Tom I.

WARSZAWA.

w Drukarni **S. Orgelbranda** Księgarza i Typografa

przy ulicy Miodowéj Nr. 495.

1852.

Wolno drukować z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu prawem przepisanéj liczby Egzemplarzy.

w Warszawie dnia $^1/_{13}$ *Lutego* 1851 *r.*

Cenzor **P. Dubrowski.**

3

WYJĄTEK Z LISTU

do W.

(NA PRZEMOWĘ CZYTAJĄCYM).

Wiele, wiele upłynęło czasu od owej chwili kiedy brałem się do pióra, ażeby przelać na papier ciężące w duszy uczucia i myśli. One to, niegdyś, pod wpływem wypadków zaledwo młodzieńczego ale pełnego wrażeń życia, odbijały się w słowach jak echo piosnki, wykołysanej na piance wyobraźni, podziwianej i miłej na łonie współtowarzyszy młodej, swobodnej, niewinnej swawoli. Ale słowa, ale wyrazy, jak

zwiędłe listki kwiatu, oderwanego od serca, małe były do oddania tego co czuło i jak czuło młode, burzliwe, namiętne, skłonne do uniesień serce; bo ledwo błysnęła myśl złota, nim jeszcze trwożliwe pióro schwyciło ją w nieme formy słowa, już ją zalewał nowy potok potężniejszych natchnień. I wrzała dusza, wrzały myśli i biły falą burzliwą ażeby wyrwać się z cisnących ją więzów. Tak lawa wulkaniczna w podziemnych głębiach krateru wre, szumi, wścieka się i długo bez skutku uderzając gniewliwie w opokę, rozsadza wreszcie paszczę płomienistych otchłani i zmęczona, bezsilna, zużywszy piekielnie tajemną swą siłę, wyrzuca ze zgliszcza wiecznych pożarów ziemi, ostatki przepalonych żużli,—na postrach i zdumienie....

Wiele, wiele już upłynęło czasu od owej chwili jak nam stary Dziekan prawił: „że wszyst-

ko pisane nawet pod wpływem genjuszu, zmalało nim się przelało w kształty dostępne pojęciom zimnym i prozaicznym; że nie tak łatwo tłómaczyć swe myśli jak się to zdaje na pozór; że nie tak snadno pisać dla drugich, niż się wydaje wielu pracującym w tym zawodzie, którzy niestety! nie wiedzą jak straszny robią zawód sobie i czytającym.“ Słuchaliśmy prawd tych mimochodem, śmieliśmy się, bazgraliśmy i rzucaliśmy na pastwę Zecerom dawno usnute i dawno wyczerpane śpiewy nieśmiałéj, zdradzonéj, okrutnéj miłości—tego powszechnego ideału,celu dążeń i zbawienia poetów, artystów. Ale myśl samoistna, wyrobiona samodzielnie i egotycznie nie zapełnia próżni w słowach, bo dla jéj oddania słabe słowa, słaby język. Rodzi się w duszy, w sercu, i duszą tylko, tylko sercem uczuwa się, pojmuje. Szczęśliwy, czyją piosnkę do-

śpiewał słuchacz czujący. Biedny, kto uczuć kwiaty rzuca pod nogi profanów, na pastwę obojętności i szyderczych pocisków. Lepiéj niech one spleśnieją w tece druha, któren kiedyś, po pogrzebie młodego, idealnego, fantastycznego życia, w dalekiém oddaleniu wyrwie nas na chwilkę zapomnieniu, spojrzawszy, chociażby przypadkiem, na szpargał niedostatecznie, lecz jakże wymownie spełniający swe posłannictwo!... Bez wątpienia—pieśń wydobyta z duszy, pod wpływem wypadków dziecinno-młodzieńczego, burzliwego życia, ma dużo, dużo uroku dla towarzyszów młodosci z jednostajnemi uczuciami, z jednakowém usposobieniem duszy. Nie dziw więc że szpargał ów, zapleśniały, z wyżółkłém od czasu obliczem, ocalony acz w części od złośliwego mola, wyprasza się na jaw z teki i radby zmartwychwstać jak upiór, chociażby dla te-

go tylko aby ze zgrozą i strachem przypomnieć na jedną chwilkę przyjaźni o dawném swojém istnieniu.....

Wiele, wiele już upłynęło czasu kiedym był tak młody, tak pusty, tak lubiący namiętnie wszystko cokolwiek wychodząc z pracowni rozumu i serca, wpadało na rozpalone uczucia, lub ujęte kleszczami zimnéj rozwagi pchnęło duszę w wyższe sfery, stawiło krok naprzód światłu. Była to najpiękniejsza chwila życia, przy najsmutniejszém rozstaniu, bez nadziei spotkania się kiedykolwiek. Piękny był dzień rozstania, dzień pogrzebu szpargałów do teki— szpargałów, których nie mogłem ci zostawić. One stanowiły dzieje słodko spędzonych godzin swawolnéj młodości, dzieje własne i drogich, kochanych osób. Miały więc swoją cenę, a niektóre sowicie, bo na wagę serca, były już za-

płacone.... Obiecałem jednakże zbudować z nich kiedyś pomnik wspomnień i wypadków słodkiej poezyi życia... Tak, obiecałem... ruszyłem w świat z poezyą duszy, bo proza życia była jeszcze daleko przedemną, a w około mnie było tylko niebo, czarowne młodości niebo, uśmiechające się nadzieje i przyszłość—świetna, szczęśliwa przyszłość!... Ruszyłem w świat... Lekki oddech lipcowego wieczora owiał mnie nowém życiem, tchnął w duszę nowe wzruszenia i pierwszy raz czując się na swobodzie między niebem, lasami, falą i wichrem, mimowoli powtórzyłem:

Tak do grobu od powicia,
W przestworze świata rzucony,
Człowiek czuje, że stworzony
Żyć i czuć roskosze życia!...

Ale byłem sam.... to z moim dziarskim woźnicą i rączemi biegusami, co z wiatrem uga-

niały się w zawody; to z lasami; to z niebem tylko i wodą, które owionąwszy mię urokiem swych powabów bolesną wreszcie tesknotą przywaliły duszę. Postrzegłem się że byłem sam. Uczułem jak ciężko, smutno wdowiemu sercu wśród pięknéj przyrody.... I ono się rwało do was, jak niegdyś z dusznego grodu... I duszno mu było między niebem i ziemią.... Rwało się ono napowrót do cichego teremu, jak gdyby przeczuwając że mu przeznaczono do grobu we wdowim pozostać stanie... aż znużone, upadające skąpało się w rosie niebieskiéj łez słodkich, cichych, uspakajających.... Ileż to w owéj chwili, pod wpływem tylu wrażeń przedstawiało się wyobraźni silnych, zajmujących obrazów, myśli. Potrzeba było ryku lwa, gromu światów, dźwięku wszystkich rajów fantastycznych ażeby zanucić piosnkę jaką grało serce......

Wiele, wiele upłynęło czasu od owej chwili.... Ocknąłem się wkrótce z letargu — lat kilka przeistniałem w osamotnionym kraju—cisnąłem pióro po za-siebie jak wojownik oręż po zdobyciu pokoju—nie tknąłem opieczętowanéj teki—splin dokuczliwy opanował mię samowładnie, a miejsce książek i pióra zajęła muzyka, grając w duszy przeczuciem bliskiego skonu.... Wreszcie popchnęły mię losy ku zachodowi Europy—stoję na krańcu suchego jéj lądu—u stóp moich rozbija się morze, burzliwe, pełne majestatu i uroku morze — rzucam się w jego fale—igram z pianą—walczę z strasznym żywiołem.... Lecz czémże są jego burze w porównaniu z tą wewnętrzną walką uczuć, z tą burzą serca, które miotając biedną budową człeka, wiecznie się srożą i zwiększają... Bie-

dny, czyja teraźniejszość bez życia, przyszłość bez nadziei. Szukając, łaknąc i pragnąc pociesza się myślą, istnieje wspomnieniem—zwraca się ku przeszłości i przeszłe mary, wypadki życia, jakby wyzwane czarodzieja laską, zmartwychwstają, roją się, poznają się wzajem... O Waldemarze! jeśli w wydobytych z teki szpargałach, przejrzanych i otrząśniętych z kurzu na obczyźnie, spotkasz się z dawno znajomą i zapomnianą piosnką, powitaj ją jak dawnego druha. W dwóch pierwszych tomikach, jako w dwoistém naszém życiu, dawna jéj brzmi nóta.... Późniejsze, pod innėm niebem, da Bóg kiedyś, późniejszą odezwą się nótą. Szczęśliwym, jeśli one znajdą oddźwięk w sercu druhów i czujących, i wyrwą na chwilkę zapomnieniu śpiewaka. To będzie jedyną, upragnioną mu nagrodą

za kilka chwil skradzionych trudnemu zawodowi dla przyjaźni!.. Téj jedynéj nagrody od ciebie najprzód oczekuję!...

Pisałem w Ostendzie
w Sierpniu
1850 r.

SYLF

WSTĘP DO POEZYI

(FANTAZYA.)

Młodzieniec.

Jak tam cudnie jak uroczo,
Jak tam wszystko świeżo, młodo,
Wszystko wieczną tchnie pogodą,
Wszystko pieśnią brzmi proroczą!
W pierworodnym swoim bycie
Niestworzone, niepojęte,
Wszystko boskie, wszystko święte—
Wieczne szczęście, wieczne życie,
Wiekuistych uciech zdroje
I roskoszy wieczna rzeka,
Co w kroplach na ziemię ścieka
I rozwija niepokoje—

Bo nim na ziemian puściznę
Upadnie kropelka święta,
Już ziemskością owionięta
Wnet zamienia się w truciznę.....

O niebiański Sylfie mój!
Skąd te słodkie słychać dźwięki?
Skąd ten w górze duchów rój,
Co jak wodnych kwiatów zwój,
To się zlewa w ton piosenki,
To rozpryska w złotych kłosach,
W dźwiękach, w śpiewie i w okrzykach,
I znów zlewa się w promykach
Słońc błyszczących na niebiosach?!
Czy Adonaj tam świątnicy,
Czy Jehowa tam ołtarzy,
Albo Arki tajemnicy
Broni archanioł na straży?
Czy Allach w Haremie raju,
Ziem huryski zaklął w duchy
I sine obłoków puchy
Zasiał perłami seraju?
Czy Diw spoczywa w przelocie,
Czy tam tron Olimpu bogów,

Że nie wolno Wajdelocie
Zaklętych przestąpić progów??...

O, tam wiecznie młody maj—
Oddech doń starego świata
Nie dochodzi, nie dolata,
O, tam raj, Sylfie! tam raj!!!

Daj mi skrzydło twoje, daj!
Niech się wzniosę niebios wolą,
Pamięcią ludów i umem
Tych co śmiało, lecz nie tłumem,
Biegli tam, w nieznany kraj,
Gdzie nad światem płyną światy,
Lsknią się złotem i szkarłaty,
Gdzie nad niemi w gwiazd miljonie,
Najjaśniejsza gwiazda płonie...
Skra jej z przedwiecznego łona,
Za karę na świat strącona,
Głazem w niemowlę zaklęta,
Doczekała lat dziecięcia,—
I gdy czas z jego objęcia,
Wepchnął ciało w nowe pęta;
Wskazał dążność wyższą siłą,

Ona podstępnie, zdradziecko.
Za młodością gnała dziecko;
A skoro młodość zabłysła,
Ona do mózgu się wpiła,
Chęci, żądze okoliła
I w myślach myślą zawisła....
O, myśl, Sylfie! nie zna pana,
Nie zna praw, ani prawideł,
Nie ma steru ani skrzydeł,
A leci tam gdzie wezwana...
Puść ją! puść ją!

Sylf.

Jeszcze wcześnie, jeszcze rano;
Świt w powiciu jeszcze kwili,
I daleko do téj chwili,
Aż gwiazdki, co rozsypano
Wprzódy nim cię tam wezwano,
Błysną na twym nieboskłonie...
Patrz, jutrzenka ledwo płonie,
Jeszcze rankiem nie oddycha;
A skoro jéj lekkie tchnienie
Płomienie niebios rozdmucha,

Spłoniesz w ogniu myśli licha,
Bo gdzież w dziecku tęgość ducha,
I moc ducha i natchnienie—

Młodzieniec.

Ledwom dzieckiem być zaczynał,
Już pierś życiem młodém wrzała,
Gdzieś w nieznany kraj się rwała;
Jam narzekał, jam przeklinał
Niedołężny wiek dziecięcia,
Gdy wola w więzach, na straży—
Ni zamiaru—przedsięwzięcia—
I marzyłem, jako marzy
Jeniec w więzach o swobodzie,
Aż uczułem iż w przedświcie,
Na młodości mojéj wschodzie,
Nowa gwiazdka nowe życie
Zwiastowała cudnie, mile....
Iż na dziecińswa mogile,
Nadludzką czarów potęgą,
Młodą wiosnę wyzionęła,
I uroczą czarów wstęgą
Dni przyszłości owionęła...

To *myśl* była choć zasuta
Tajemnicą, lecz przeczuta.
O, myśl, Sylfie! nie zna pana,
Nie zna praw, ani prawideł,
Nie ma steru, ani skrzydeł—
Ona sama sterem panią,
A leci tam gdzie wezwana;
Puść, puść mnie za nią.

Sylf.

Jeszcze wcześnie, jeszcze wcześnie.
Szały w młodzieńczym zachwycie
Płoną dziwnym meteorem;
Jak ognisty wulkan ducha,
I bogato i obficie
Błysną zrana, a wieczorem—
W zapał boski, ziemią struty,
Spływa lawa zimna, sucha;
Bo do ziemskości przykuty
Młodzian jeszcze marzy we śnie...
Czekaj aż z dojrzałą wiosną
Orle pióra ci urosną,—

Bo kolibr choć się wysoko
Wzniesie z tłumu towarzyszy,
Nikt piór chrzęstu nie dosłyszy,
A lot rzadkie dójrzy oko.

Młodzieniec.

Nim zacząłem być młodzieńcem,
Róż tysiącem świat już płonął;
Roskosz do nóg padła wieńcem,
Urok raju pierś owionął,
I młodości wskazał tęczę,
Po za którą dni młodzieńcze
Z nieznanego dotąd kraju,
Miały dążyć życzeń tłokiem,
Tchnieniem szczęścia, szczęściem raju,
Szumnie, wesoło, z podskokiem...
I w nowe wijąc się tęcze
Życia, szczęścia i nadziei,
Złotemi wieki Astrei
Snuć ciągle nowym urokiem
Dni młodych siecie pajęcze.
Ale młodość życiem syta,
Prędko wschodzi i przekwita,

Aż zostanie dla młodzieńca
Kilka zeschłych listków z wieńca.

Tak z młodzieńca wzrosłem w męża—
Nie mam mocy, ni oręża,
Ale czuję zapał święty
Co mdłe ciało przezwycięża;
Zapał nie z ziemi poczęty!
Mieszkaniec wyższego świata
Wyżéj wzrasta, wyżéj wzlata,
Z łąk niebieskich rosę pije,
Tęczą życia w niebo bije...

Tam ku niebu myśli wzleć,
Rzuć nikczemną ziemi pleśń,
Po nad światy gwiazdką świeć!
Grom, pioruny—to twój miecz;
Mikrokozmus—to twój znak;
Szlak błyskawic—to twój szlak;
Poświst burzy— to twa pieśń—
Precz mi z drogi ziemio precz!!

Sylf

Szaleńcze, dokąd gonisz—przed tobą otchłanie!
Niebo gore wzburzeniem—piorun po piorunie

Ćmi widnokrąg przed tobą—wkrótce niebo runie;
Uciekaj, skryj się falą w wichrów oceanie!
Kotwica słaba pryśnie i w złomach okrętu
Zginiesz jak przedstworzony kraj w wodach zamętu...

Ileż tu wielkich ofiar wielkiego rozbicia!!
Nie ma w nich iskierki życia,
I młodych śmiałków skielety
Tylko gady tutaj znają,
Tylko z wichrem tu gadają,
I tylko . . . . niestety!
Z nieśmiertelnych źródeł Lety
Budzą skarg rozjemcze morze—
Ilekroć zawiści duchy,
Brzęcząc prawideł łańcuchy,
Złowieszcze zioną podmuchy
Na rajskie fantazyi zorze!!

Młodzieniec.

Słucham—wytężam ucho—
Ramię duszy świat objęło—
Słucham—wszędzie cicho—głucho—
Jak w przepaść wszystko zginęło.

O! myśli ma wzlataj chyżéj!
Tam ku niebu wyżéj! wyżéj!
Gdzie tysiące światów płonie!
Oto powstał bard i śpiewa,
I szumnie mu zewsząd wtórzy
Ryk lwa—króla, poświst burzy,
I przepaścistych wód tonie;
Echo śpiewu wiatr rozwiewa,
Odbija się w niebios łonie,
Coraz silniéj, silniéj wzrasta,
Przebiega wioski i miasta,
Od osi światów do osi,
Od biegunów do równika,
Dzielny tryumf śmiertelnika
Niebieskim mieszkańcom głosi,
I ginie w gwiazdzistym świecie.

O harmonjo boskich tchnień!
Jak jest małym przeciw ciebie
Król stworzenia, bóstwa cień,
Co wydobywa sam z siebie
Czary, dziwy; co nad światy
Wystrzela młodemi szały,
I fantazyi ideały

W niebieskie ustraja szaty!!
Z tą piesnią cudów w cudów kraj
Wzleć myśli orla, w górę wzleć!
Słońcem podziwu w niebie świeć!
Daj mi twe skrzydło, Sylfie daj!
Niechaj przekroczę granice·
Które człek dla człeka stworzył;
Niechaj zbadam tajemnice
Czemu za nie krok przełożył
I powściągnąć się nie umiał,
Własnych natchnień nie zrozumiał,
I jako ćma pośród nocy
Bez steru, o własnéj mocy,
Na to leci—aby błądził
I pełgał—jak zjawisko.
I błyskał—na pośmiewisko,
I broił—by go świat sądził..

Sylf.

„Sądy ludzi, sądy Boga“
Śmiertelniku! uchyl czoła,
Głos wewnętrzny w tobie woła:
„Tu raj—piekło, roskosz—trwoga“
Tam nie sięgaj, wróć do ziemi!

Niech blask bóstwa cię przerazi,
Bo śmiertelny wzrok twój skazi
Nadniebieskich stron anioła.
Uchodź! pod twemi się stopy,
Uchylają niebios stropy,
I tyś z nadludzką siłą
Już nad przepaści mogiłą.

Młodzieniec.

Słucham—wytężam ucho—
Ramię duszy świat objęło—
Słucham—wszędzie cicho—głucho—
Jak w przepaść wszystko zginęło...

* * *

Gdy w lubych złudzeń godzinie,
Nie myśląc w myślach utonę,
Gdy rzeczywistość, gdy istność ginie,
Czemuż w ogniach mych nie spłonę?
Czemuż namiętność, żar duszy
W nieśmiertelność się nie stopią,
A gdy ogniwa katuszy
Balsamem pociechy skropią,
Czemuż nie pękną, nie prysną

I nie zapadną wgłąb marnie,
Ale cięžéj, srožéj cisną
Nowe bóle i męczarnie?!

O jak cięžko z złudzeń kraju
Powracać nazad do świata!
Jak anioł wygnany z raju,
Co ni do ziemi dolata,
Ni w kraj szczęścia wrócić može—
Śmigam przez stepy zniszczenia,
Przebiegam ziemskie bezdrože,
I spotykam— kwiat wspomnienia.

O chwile wspomnień! nadzieje!
O złota uniesień chwilko!
Póki ogień w piersi tleje,
Nim świat druhów, nim świat bratni
Požegnam już raz ostatni,
Wy same, tak—wy same tylko
Obudźcie przeszłości tony!
Niech w porywach wyobraźni
Zabrzmią światów miliony,
I zanócą dla przyjaźni
Piosnkę dawną, piosnkę znaną,

Lecz kochaną, podziwianą.
A jeśli cię, duszo méj duszy!
Przytłumią pamiątek mary,
Lub dawną nutę zagłuszą
Fantastyczne pienia, czary,
Dzikie śmieszne, niepojęte,
Sny wylęgłe w wyobraźni,
Niechaj będą drogie, święte
Pieśni westchnień dla przyjaźni;
Bo choć niemi pierś zadzwoni,
Lud nie wcieli się w natchnienia,
I w żmudnych formach roztrwoni
Siłę wzruszeń, duszę pienia
I młodości uniesienia.

Młodości ma, tyś nad światy!
Wszystko boskie, zajmujące,
Uczucia namiętne, wrzące
I umysł wiedzą bogaty!
Wzlatuj w górę—tam zapłata,
Tam twych natchnień ideały—
Młode grzechy, młode szały
Rzucaj na pastwę świata.

Wieku cierpień, wieku złoty
I roskoszy i nadziei!
Któż w dalszéj życia kolei
Nie wspomni cię bez tęsknoty?

Młodości ma, wieku życia!
Rozciągnij jego ogniwa,
Niech teraźniejszość szczęśliwa
Lśni we zwierciadle odbicia;
Niech tém odbiciem na wieki
Pełga gwiazdka—satelita,
I nigdy światła niesyta
W czas przyszły, późny, daleki
Wyzwana jedném westchnieniem
Z czarodziejskiego ukrycia,
Niech rozjaśni swym promieniem
Tęskne dzieje twego życia!!

SONETY

I.

WSPOMNIENIE PRZESZŁOŚCI.

Spójrzyj ziemski aniele na te łzy w mém oku!
Czyj je oddech wyciska, w czyjém tchnieniu giną—
Któż winien że cię kocham—czyją było winą
Że stopniała ma dusza w ogniach twego wzroku?

Spłynęły dawne chwile—mija rok po roku—
Jam się z lubą na zawsze pożegnał krainą—
Wszystko przeszło—łzy tylko jak płynęły płyną,
I smutną przyszłość w mrocznym malują obłoku.

Przeszłości! w twojém łonie jest powab ukryty,
Co nieznanemi wdzięki obraz twój umila,
W niebieskie strojąc kwiaty nawet łzy, cierpienie.

Urok przyszłości nigdy i niczém nie syty,
Trwożną bawi nadzieją, lub dręczy co chwila—
Przeszłości zawsze miłe zostaje wspomnienie.

1 Lipca 1845
Petersburg.

II.

POWITANIE.

Czy pomnisz dzień rozstania, w którym ze zwyczaju
Złożyłaś pocałunek na mém wrzącém czole,
W chwili kiedym cię żegnał w twém rodzinném kole,
Jadąc szukać ochłody gdzieś w północnym kraju?

Żywa, pusta, naiwna jak posłannik raju,
Śmiałaś się—a w méj duszy wrzały straszne bole,
Bo w niéj pałał twój obraz, oczy twe sokole...
Był to dzień najsmutniejszy w życia mego maju.

Lecz ktożby się spodziewał! Żegnaną na zawsze
Znów witam, znów cię widzę, patrzę w twoje oczy,
Pieszczę dłoń twą i nieba błyszczą mi łaskawsze,

A myśli mych tęsknica dawna już nie mroczy;
Tak mi słodko—tak lubo—obym mógł w tym bycie
Pieścić cię, pieścić, pieścić i—tak skończyć życie!!

5 Września 1848. r.
Warszawa.

III.

O luba! czy ty pomnisz te ubiegłe chwile,
Kiedym się po raz pierwszy spotkał z twém spojrzeniem;
Kiedym potém twe dłonie ściskał z uniesieniem,
I tylem spędził z tobą dni i godzin tyle?!

Nieraz mię od ust twoich odtrąciłaś mile;
„Ah cóż on zrobił ze mną“ wołałaś z wzruszeniem
I trwogę wnet koiłaś czulszém uściśnieniem—
Dni miłości bujały jak szczęścia motyle—

Tuliłaś mię u łona—jam kolana zginał;
Nie wierzyłaś w mą miłość—jam ci ją przysięgał;
Wzdychałaś obojętnie—jam się zapominał;

Mój głos cię nie dochodził—Twój duszy dosięgał
I jad zdrady w miłosnych słówkach się wylęgał.
Ah! na toż tak kochałem żebym dziś przeklinał.!

IV.

SPÓJRZENIE.

Spójrzała—blask uroku błysnął w jéj źrenicy,
Rozlewa się w mém łonie, przenika do duszy,
I znów błyska jak w falach, gdy w nich wiatr poruszy
Odblask gwiazdki, piorunu, burzy, błyskawicy.

Spójrzała—tak mi ciemno w całéj okolicy—
I słodko i boleśnie przelewa się w uszy
Pieśń grająca wybranym, co w lubéj katuszy
Zasnęli, nie pojmując czarów tajemnicy.

Ah, oczy, boskie oczy! w rajskiém upojeniu
Budzą się przez was w duszy bóle, niepokoje,
Czerpiąc roskosz z trucizną w nowém jéj spójrzeniu.

Zamknij, zamknij niebianko boskie oczy twoje
Lub rozkaż niech tak paląc spłoną w swym płomieniu.
Już nie patrzę, a jeszcze—w zachwyceniu stoję.

V.

Minstrel.

Dokąd pędzisz tak w burze; zwrócisz-li do celu
Łódkę, gdy nią tak miota żywiołów wzburzenie?
Dokąd lecisz, czy płyniesz; w niebios-li sklepienie,
Czy gdzie morze zapada? o biedny Minstrelu!

„Tam płynę gdzie przedemną pływało nie wielu,
Ku pieśni, jaką boskie uroniło tchnienie,
Gdy nieśmiertelność iskrę tchnęło na stworzenie
I świat zdumiony mistrza poznał w stworzycielu.

Po nad światy, w przestrzeni nie objętej wzrokiem,
Gdzie myśl i genjusz tylko dolata wysoki,
Rozpinam wszystkie żagle po morzu szerokiem—

Długi przedemną przestwór, długi, tak szeroki
Że nie objąć ramieniem, nie doścignąć wzrokiem...
Tam polecę—popłynę—ku niebu—w obłoki"—

VI.

Gdym cię pierwszy raz ujrzał, pierwszy raz przywitał,
Dziwnie mi serce biło, dziwnie pierś mi drżała;
Czułem w twarzy płomienie, krew mi w żyłach wrzała;
Nie pomnę com ci mówił, o com ciebie pytał.

Gdym się zbliżał ku tobie, gdym twe dłonie chwytał,
Gdyś spójrzała, westchnęła, ramię mi podała,
Wpadłem w letarg i dusza ku niebu wzleciała,
Pijąc z twych oczu urok co roskoszą świtał.

Kiedym dotknął twych ustek rozpaloną wargą,
Kiedy drżąca jak trzcina padłaś w me objęcia,
Nie dając znaku życia wyrzutem, ni skargą;

Kiedyś czysta, niewinna jako sen dziecięcia,
Mgłą niebieskiéj pieszczoty zasuła powieki—
Ah! czemuż nie usnąłem w tym stanie na wieki!!

1848 r.

VII.

GWIAZDKA-BAŁAMUTKA.

Umilknął dawno słowik w Białostockim sadzie,
Noc rozpostarła senny chylat z gwiazd pół świata;
Już cicha wrzawa miasta ledwo tu dolata
Jak długi, oddalony szmer w żórawiów stadzie.

Z wschodu gwiazdka, jak żona podejrzana w zdradzie,
Nieśmiało z chmur wygląda kochanka czy brata;
Wtém księżyc wpłynął z dumą—błędnéj gwiazdki szata
Wężykiem przez widnokrąg wionęła w nieładzie.

I błysk jéj zgasł w objęciach ziemskiego kochanka,
Tak ściśle niebios z ziemią harmonja się klei!—
A gdy odchodząc branki żegnał król z kolei,

W tłumie znajomych błysła i zdrajczyni-branka.
Lecz pocóż się rumieni gdy koło poranka
Słowik zadzwoni piosnkę westchnień i nadziei?—

29 Czerwca 1842
Białystok.

VIII.

Kiedym cię żegnał wczoraj, zazdrośna jutrzenka
Drzemiąca u wrót raju stanęła na czatach;
Zaledwoś drzwi zatrzasła, ona w świetnych szatach
Wschodzi—otwiera łono—przed nią Ranek klęka—

Wskroś po niebie wionęła rajska jéj sukienka—
Odblask jéj drobną siatką w srebrnolitych matach
Rozlał się wskroś po wieżach, po klasztornych kratach
I w cześć jéj brzmiała z niebios poranna piosenka.

Jak cudny świt jutrzenki!—lecz odeń uciekam
Bo twe oczy cudniejsze, piękniejsze twe lice,
Bo dla mnie świt jutrzenki—boskie twe źrenice...

Dziś pozwól niech się słońca u ciebie doczekam,
Aż spłoną w jego ogniach gwiazdki-zazdrośnice...
Słońce błysło—i czemuż me odejście zwlekam?!

1849
Warszawa.

IX.

SAMOTNIK.

Kończy się dzienna praca, porzucam ukrycie,
Wychodzę i ciekawe w świat zapuszczam oko,
Wyciągam pierś, ramiona ku niebu szeroko—
Cichy oddech wieczora nowe wlewa życie—

Oddycham zdrowiem,—dusza w uniesieniach skrycie
Na fali boskich dumań usypia głęboko—
Duch się wznosi ku niebu wysoko—wysoko—
Jak roskosznie dla myśli odetchnąć w tym bycie!!

Samotny—dążąc smutnie do wieczności domu,
Jęczę we dnie, na wieczór gdy zdejmą łańcuchy,
Mnie wyżéj nad świat wloką nadpowietrzne duchy—

Nim wzlecę chciałbym ludom zwierzyć myśl kryjomu,
Lecz u nich oddźwięk serca tak niemy, tak głuchy—
Nieszczęsny, kto swych myśli nie ma zwierzyć komu!!

1837
Sokółka.

X.

Pogasły światła w oknach, gmach cienie olbrzymie
Rozrzucił; krzyże smutno patrzą na krużganek—
W dali słychać głos dzwonka zabłąkanych sanek,
Lub ziewanie budnika gdy wyrzeka zimie.

Tylko miejska latarnia, jak iskierka w dymie,
Pełga bladém światełkiem; jak błędny kochanek
Blask jéj wskoczył na balkon, wdarł się do firanek,
Zawisł w osamotnionym salonie i—drzymie.

O szczęśliwy promyku! może tam w téj chwili
Dręczone bezsennością czuwają jéj oczy,
Spraw niech twój odblask ciężką bezsenność umili;

A gdy zmruży powieki, niechaj sen uroczy
Owionie ją na dobranoc, i gasnąc nad rankiem
Powiedz żeś tu do świtu marzył z jéj kochankiem.

1850
Warszawa.

XI.

„ŻEGNAJ SIĘ Z NADZIEJĄ."

Gdybym cię mógł zapomnieć, zapomnieć te oczy
W których kusiciel tyle zaszczepił ponęty,
Gdy z drzewa wiadomości rwał owoc zaklęty,
Że promieni ich blasku i śmierć nie zamroczy.

Gdybym cię mógł zapomnieć i twój wdzięk uroczy
Gdyby stracił w twej piersi przódków wstręt zacięty!
O! usnąłbym szczęśliwy lubym snem ujęty
I marzyłbym aż lube mary śmierć zakroczy.

Lecz próżno!—ja cię nigdy zapomnieć nie mogę.
Spójrzysz—i znów uczucia w mojej piersi tleją.
Westchniesz—i me zamiary na wiatr się rozwieją.

Chciałbym dłoń twą uścisnąć i uczuwam trwogę—
Chwytam ją—ty się dąsasz i zimną przestrogę
Czytam w marsie brwi twoich: „żegnaj się z nadzieją."

1843
Białystok.

XII.

Wieczór posępną twarzą spójrzał do salonu,
Zaiskrzyło się niebo, jakby przed pożogą,
Tłumy spóźnionych spiesznie przesunęły drogą,
Błysnął sąsiad-kaganiec, jak straż u balkonu.

Księżyc wstał wpółdrzémiący z łoża edredonu,
Spójrzał po niebie—spójrzał, nie znalazł nikogo,
Wpłynął w chmurki wiszące nisko, nad rozłogą,
I śmieje się do gwiazdek na tle nieboskłonu.

Ocknął się zegar z wieży, drżąco północ dzwoni,
Księżyc otrząsł się z puchów, wdział godowe szaty
I zasiadł z majestatem nocy tron bogaty.

A wszędzie tak pusto, cicho, jak w grobów ustroni,
Nikt w śnie grobowym znaku życia nie uroni—
Jakby wszystkie przed chwilą wymarły już światy.

1846
Warszawa.

XIII.

Przestań, przestań narzekać—nie winniśmy temu:
Ty jesteś nadto ładna, jam za nadto tkliwy,
W tobie płynie krew wrząca i jam nie mniej żywy,
A trudno, trudno sercu rozkazać młodemu.

Pozwól więc niech uścisnę dłoń twą po dawnemu,
Niechaj usta srebrnemi ząbków twych kaliwy
Rozśmieją się, niech znowu wesół i szczęśliwy
Marzę z tobą w świątyni twojego teremu.

Spójrzyj jak świat ten piękny z twojego okienka,
I przyroda tak cudna jak tego wieczora
Gdy z balkonu wionęła lekka twa sukienka...

I księżyc, jasny łabędź srebrnego jeziora,
Białym światłem migoce jak twa biała ręka—
I wszystko tak jak wtenczas—wszystko jakby wczora.

XIV.

Bywało gdy rój wspomnień sen uroczy spłoszy,
Jedne śmiech, drugie litość wzbudzały tajemnie;
Dziś sam żebrzę litości, a ona odemnie
Kradnie resztkę pokoju, nadzieję roskoszy.

Słowa moich uwielbień głos jéj wnet rozproszy,
Ona wzbrania mi rączki i błagać daremnie,
Bo się dąsa i gniewa—a piekło wre we mnie
I cięższym jeszcze bólem niemą pierś pustoszy.

Pomnę, kiedym ją pierwszy raz zobaczył—śpiącą,..
Któż ten urok wyrazi kiedy za ocknieniem,
Niemą, namiętną duszą, mową w ustach drżącą

Witałem ją.... kiedy na mnie rzuciła spójrzeniem—
Tak mi było mdło, lubo, słodko, tak gorąco
Jakby cherub mię olśnił rajskiém zachwyceniem.

1841
Białystok.

XV.

JAMIOŁA.

Z napół rozbitém sercem, że skażoną duszą,
Jako gadzina jadem trucizny spalona,
Jako wąż, jam się wcisnął do twojego łona
I czyste serce zatruł piekielną katuszą.

Dziś mię tamte potępiać, te przeklinać muszą,
U innych tajna zawiść w głębi piersi skona...
A ty piękna, nadobna jamioły korona,
Drżysz nad upadkiem dębu że go burze kruszą.

Zostaw go własnym losom i idź w swoją drogę.
Niech dąb walczy z wiatrami—on się sam ostoi,—
Jemu walka z wrogami, jemu bój przystoi.

Ty się utul w twym żalu, ukój próżną trwogę
A przyjdzie czas że kiedyś, przy nowéj krzewinie
Młoda gałąź jamioły bujniéj się rozwinie.

XVI.

O jak puste miejskiego tułacza mieszkanie!
Kiedy niekiedy zagrzmi wrzawą towarzyszy
I znów wraca do dawnéj spokojności, ciszy,
Znów samotność w około czepia się po ścianie.

Czasem zagra w kominie wiatr jak na skonanie,
Czasem znudzonéj głodem ozwie się pisk myszy,
Lub chrzęst robaczka w drzewie czasem się posłyszy,
I księżyc czasem w okno zajrzy na rozstanie.

A gdy późno—przed rankiem—mieszkaniec ustroni
Do świątyni spoczynku przywlecze się wreście;
Wtenczas grobowem echem mieszkanie zadzwoni,

Pająk z muszką zanucą strasznéj trwogi wieście
I usną snem tułacza, który głowę skłoni
Na chwilkę, by w południe znów ocknąć się w mieście.

XVII.

Kiedy przy tobie Linciu! w zbytku upojenia
Serce się miota między nadzieją i trwogą,
Czemuż wzburzone czucia ukoić nie mogą
Tęsknoty, jaką skryta miłość się ocienia—

Wprzódy, nim cię przykuto stułą do pierścienia,
Tchnęłaś dla mnie uczuciem wysnutém tak drogo—
Dziś, kiedy go przesąd zwarzył, powiedz mi: dla kogo...
Dla czego tak palące oczu twych płomienia??

Tak płomień tysiąc innych zapala płomieni,
Tysiąc ofiar niszczącém żądłem w nic obraca,
A z swych ogniów ni jednéj iskry nie utraca.

O luba! wschód nadziei z ust się twych rumieni—
Czemuż—gdyśmy oboje duszą uniesieni—
Ty tłumisz coś czuć zdolna, mnie spokój nie wraca!

XVIII.

RANEK

NA MARKOWÉJ GÓRZE W BIAŁYMSTOKU.

Wpółmglisty, wpółdrzemiący spójrzał świt na ziemię,
Z chmur się tylko do młodéj uśmiechnął jutrzenki
I usnął, aż znów świetniéj rozsypie swe wdzięki.—
Maszt obłoków spokojnie na pagórku drzemie.—

Jeszcze śpi młyn—śpią więźnie—tylko w mglistym dymie
Przesuwa się straż dzika, jak ich kajdan brzęki—
Coraz mroczniéj z ich okien pełga blask maleńki,
I świetniéj mgły nad miastem piętrzą się olbrzymie.

Mgły spadły—mrok uchodzi—i potok się złoty
Rozlał długo, szeroko po ziemi i w niebie—
Twórco! któż w tym obrazie nie uwielbia Ciebie..—

Tam—tam gore myśl-genjusz i ogniem tęsknoty
Ku niebu, Bogu nieci sen rajskiéj pieszczoty,
Która ziemię daleko ciska po-za-siebie..,

1843 r.

XIX.

CHARYTYNIA.

Charytynią ją zwali—jakież ładne imię!
Jakże sama milutka, wesoła i żywa!
Twarz myśląca, włos kruczy na ramiona spływa,
Życie kwitnie w jagodach, w ustach miłość drzymie.

Oczy—o gdyby blask ich mógł się odbić w rymie!
A dusza jej tak prosta, czułość tak rzewliwa...
Szkoda żem wcześnie z światem stargał już ogniwa,
Że dni wiosny przypadły w życia mego zimie.

Jako dziecię łakocie lubię ładne twarze,
Lubię rozlany w licach rumieniec półblady
I naiwną wesołość, czułość bez przesady.

Lecz czas zniszczył stawiane pięknościom ołtarze;
Skryły się dawne Nimfy, Rusałki, Najady....
Już nie kocham, a tylko po dawnemu—marzę.

Warszawa.

XX.

Przestań nam prawić o Kloi, Niobie,
O tych cudo-piosenkach śpiewaka Aldony,
Których harmonją dotąd grają gwiazd miljony
I budzą oddźwięk ziemi tęskniącéj w żałobie.

Wierz mi raczéj, że nigdy kwiat na uczuć grobie
Nie błyska listkiem życia—od ogniów korony
Jego nie zmartwychwstanie proch pod nim złożony;—
Wierz mi, że świat słodziuchno uśmiecha się tobie;

Żeś pełna młodéj krasy—tylko chłód niestety!
Przedwcześnie zwarzył w tobie uczucia i chęci;
W sercu—lód, w głowie—wulkan, a za to w pamięci

Całe tomy poezyi, Wallenrod, Sonety—
Tak że młodości nawet roskosz już nie znęci...
O! znać gwiazdkę przeszłości ćmi odblask komety!

Połomin
1842.

XXI.

NA POWRÓT ADELI Z DREZNA.

Tęsknisz—marzysz—z ust uśmiech uleciał radosny—
Próżno szukasz Drezdeńskich w Album twojem datków,
Bo z tych czułych wierszyków, z świeżych niegdyś kwiatków,
Dziś już ledwo wspomnienia przemarzonéj wiosny.

Teraz tęsknisz za morze, a wprzód głos żałosny
Z za morza ileż razy zwał dziecińtswa świadków!!
Wtenczas dałabyś wszystko za bukiet bławatków,
Za szczyptę ziemi, za źdźbło z nadniemeńskiéj sosny...

Teraz zewsząd znajome witają cię lica.
Tu przyjaźń, tu rodzina ściskają ci dłonie,—
Oko, duszę roskoszna nęci okolica—

Ty tęsknisz, zimno ściskasz starą dłoń rodzica
I myśl ztąd oderwana gdzieś daleko tonie...
Biedny, kto cudzoziemcem jest w ojczystéj stronie!

XXII.

Lubię cię jak mą siostrę i zawsze i wszędzie,
Czyś kapryśna, czyś w spazmach, czy spór wiedziesz
zemną,
Czyś w zgodzie, zawsze jesteś miłą i przyjemną,
I rad cię zawsze liczę w siostrzyczek mych rzędzie.

Ja szczęśliwy że słowa moje masz we względzie;
Szczęśliwszy kiedyś iskrę obudzi tajemną,
I pierś jego uczuciem nie westchnie daremno;
A najszczęśliwszy miłość i rękę posiędzie.

Ja nie marzę o szczęściu—rad przestaję na tém
Że mię darzysz twém słówkiem i zimném spójrzeniem.
Niech innemu twe usta rozkwitną szkarłatem

I pierś niech zadrży jeszcze nieznaném ci drżeniem;
Dla mnie zostanie przyjaźń z tém lubém wspomnieniem:
Że byłaś dla mnie siostrą, ja dla ciebie bratem.

3 Listopada
1848
Warszawa

XXIII.

Znowu cię tutaj widzę, znów za tobą lecę
I myśli i westchnienia znów za tobą gonią;—
Stoję—a kiedy nieme usta słów nie ronią,
Sam śród zabaw żyjących potępieńcem świecę.

O gdybym mógł jéj pamięć w niepamięci rzece
Utopić—i wzrok, serce taką odziać bronią
By jéj nie znać, nie zważać, nawet nie dbać o nią!!...
Spójrzała—jakaż lubość w zmrożonéj powiece!

Brzmią w ustach słowa słodsze nad oddech roskoszy,
I trud tańca tak piersi lubieżnie jéj wzdyma,
Że słowa oderwane domawia oczyma.

Nieszczęsny! znówże miłość trwożny duch pustoszy?
Dziś twe męztwo swém słówkiem, spojrzeniem rozproszy,
A jutro—czczość w jéj sercu, w uczuciach jéj zima.

XXIV.

ZAZDROŚNIK.

Przeklęci zazdrośnicy z swoją nudną szkołą!
Stał w milczeniu mąż-argus, orlém śledząc okiem
Tany ładnéj brunetki, a gdy z lekkim skokiem
Podała dłoń młodzieńcom, śmignęła wesoło,

Widziałem jak mu usta posiniały w koło,
Jak oczy krwią zabiegły, jak pozierał bokiem,
Jak coś wyrzekł, czy wspomniał, i—przeszył ją wzrokiem,
Aż z burz jéj serca spadła czarna mgła na czoło.

O! jeśli skąpiec skarby nieużyte strzeże,
Nie żal że marnotrawca po nim je zabierze.
O! jeśli tak zazdrośny spójrzeń żony broni,

Nie dziw że i najstalsza zachwieje się w wierze.
Nigdy niesyci skarbów jakże biedni oni!
Nadzieje—wiatr rozwieje, spokój—czas roztrwoni.

XXV.

RADA.

Nie wierz przeczuciom.—Próżno twe się serce trudzi.—
Kto wcześnie w drodze życia wytrwał niepogody,
Ten stary doświadczeniem, choć w uczuciach młody,
Łacniej je pojmie, wstrzyma, łacniej je przystudzi.

Tyś nadto młoda—nie dziw że cię próżność łudzi.
Lubię czarne twe oczy, bledziuchne jagody;
Podziwiam kształtną kibić, wdzięk boskiej urody,
I dziwne drżenie serca we mnie głos twój budzi,

Lecz spójrzyj w duszę moję. Tam w zatrutém łonie
Śpi dzika hydra wspomnień i w szczęścia godzinie,
Wywołana westchnieniem, ledwo łeb wywinie,

Teraźniejszość zatrutym jadem wnet owionie.
Uciekaj więc! mirt rwany na życia ruinie
Wieńcem dusze połączy—chyba aż po zgonie.

XXVI.

Myślałem że gdy ciężar smutku piersi gniecie,
Już się nigdy nie ockną młode ideały;
Myślałem że chłód życia przystudzi zapały;
Że znowu wrócę martwym lśnić na ludzkim świecie.

Tak mniemałem, tak jeszcze i mniemam, a przecie
Nowy niepokój, burze duszę mą owiały;
Znów uśpione uczucia w sercu się ozwały...
Gonię za nią, jak płoche za motylkiem dziecię.

Za kim i dokąd biegnę? po kim ciężkie ronię
I łzy i westchnienia? daremne pytanie—
Tajemnica śpi w duszy—skonało wyznanie—

Śpij i ty biedne serce, a kiedy po zgonie
Błyśnie kiedyś szczęśliwsze wieczności świtanie,
Ockniesz się—by w pieszczotach skonać na jéj łonie.

XXVII.

LENKA.

„Nie ładna twoja Lenka“ każdy mi powiada
A jednak każden przed nią ugina kolana;
Bo w jéj postawie taka łagodność rozlana,
Taka kibić cudowna, twarz tak ładnie blada,

Że wszystkich sercem, wszystkich umysłami włada.
Znać że z niebios za karę na ziemię zesłana—
Bo czy to na modlitwie u świątyni pana...
Czy z pejczem... w amazonce... czy konia dosiada...

Wszystko w niéj się odznacza niebiańskim odcieniem.
A cóż kiedy na czułą serc rzewliwych mękę,
Do fortepjanu ściągnie swą drobniuchną rękę

I harmonją tchnień boskich rozleje z natchnieniem—
Wtenczas każden nadziemskiém rozrzewnia się pieniem,
Tylko słucha, podziwia i uwielbia Lenkę.

XXVIII.

NIEULECZONY.

W siarczystych swędach, w czadach wulkanicznéj huty
Próżno serce zatrute uzdrowienia szuka.
Nie wzbudzi echa życia przyroda, ni sztuka,
W czyjém tętnie już wszystkie obumarły nuty.

Ten krater, tajemnicą odwieczną osuty,
Źródeł przedpotopowych odarta powłóka,
Którym hołd niesie ludzkość, a wdzięczność nauka,
Dla niego—obraz grobu, świątynia pokuty.

W kim słodki nektar życia wyrobił trucizny,
Jadowitym wyziewem zaraził powietrze,
I włożył piętno wiecznej tęsknoty na skronie;

Ten życiem wszystkich światów nie zagoi blizny,
Ten tchnieniem wszystkich rajów zdrowia nie owionie,
Pokojem wszystkich świętych piętna już nie zetrze.

Busk
1846.

XXIX.

ODPOWIEDŹ NA LIST SIOSTRY.

Kiedym był jeszcze dzieckiem śniło mi się szczęście.
Widziałem jak jasna gwiazdka weszła raz, błysnęła,
A z niéj cudnej dziewicy postać wypłynęła,
I z uśmiechem wskazała ku mnie—na zamęście.

Jam się odwrócił od niej, zacisnąłem pięście,
I biegłem kędy wsteczna od niéj siła pchnęła,
Aż uciekłem—a gwiazdka we mgłach utonęła
I mgła mię otoczyła czarna, jak nieszczęście.

Od owej chwili dotąd wyglądam daremnie.
Dawna gwiazdka dziś dla mnie już nie wschodzi więcéj,
A choć wejdzie wnet cienie kryją ją odemnie;

Choć wyglądam gorliwiéj i pragnę goręcéj,
Nie wschodzi mi tak jasno, nie lśni tak przyjemnie—
Bo tylko wschodzi, błyska raz wiośnie dziecięcéj.

XXX.

NA ROZSTANIU.

Jeszcze chwilka, a twoje nie ujrzą mię oczy.
Jak obcy cudzoziemiec bez łez, pożegnania,
Cicho porzucę ściany dzikiego mieszkania
I wieczna tajemnica byt mój tu zamroczy.

Już jutro w tajnem przejściu straż cię nie oskoczy,
Nie spędzisz trwożnej nocy czekając świtania;
Tu drugi do mojego przypadnie posłania
I progu może nazad nigdy nie przekroczy.

Gdziem tyle cierpiał, tyle płakał mojej straty,
Już nic mi nie nagrodzi chwil szczęścia i trwogi—
Płomień duszy nie stopi rdzawych łez u kraty—

Pocóż sama mię pędzisz na rozstajne drogi?
O! niech raczej wprzód umrę nim przestąpię progi,
Bo mi życia nie stanie na cząstkę zapłaty.

XXXI.

CMENTARZ W NARWI.

DO ROMANA.

Jak tu smutno! Cień śmierci w około na straży.
Krzyże, groby—jéj godła, szmer drzew—jéj czuwanie,
Wichrów wycie—jéj pieśni, świst ich—jéj wołanie,
Skinie—a z sioł i grodów miejsce dla cmentarzy.

Może nie jeden Jadźwing gdy się z Rusią swarzy
O piędź ziemi z Litwinem poległ na tym łanie;
A choć bezkarnie wówczas zajął to posłanie,
Potomek obok niego zgodnym snem dziś marzy.

Jam tu obcy i obcych wielu tu spoczywa—
Dla nich więc łzę poświęcam; Ale ty Romanie!
Pamięci ojca poświęć króciuchne dumanie.

Z jego grobu głos mówi: że młodość burzliwa
Prędzej czy później z światem rwie zgody ogniwa;
Swawola w czczość się zmieni, a gorycz zostanie.

Narew
1843.

XXXII.

CÓŻ MI Z TEGO.

Cóż mi z twojéj piękności kiedy martwa dusza.
Kiedy tak się wyrywasz, cóż z twéj pulchnéj dłoni;
Cóż z twych ustek kwitnących gdy ich przesąd broni;
Cóż mi po pięknych słówkach gdy je żart wymusza.

Cóż mi z dźwięcznego śpiewu kiedy go zagłusza
Chrapliwy oddźwięk uczuć co w twéj piersi dzwoni;
Cóż z westchnien gdy je nowa zręczność wnet roztrwoni;
Cóż mi z twojego serca gdy wszystko go wzrusza;

Cóż mi z tego wszystkiego?! kiedy życia wrzesień
Przedwcześnie się nasuwa, nie dziwcie się zgoła
Że we dniach jeszcze wiosny, rychłą czując jesień,

Już w postaci anielskiéj nie wielbię anioła—
O, miłości z méj duszy on już nie wywoła,
A wesołość—to owoc przeszłych mych uniesień.

Juchnowszczyzna
1842 r.

XXXIII.

PRZED-DZIEŃ Ś. KATARZYNY 1847 r.

Wieczór—pląsa młódź żwawa—pot leje się rzeką—
Wszyscy w koło weseli, a u mnie—tęskliwa
Myśl w duszy, westchnienie z piersi się wyrywa
I ulata na północ daleko—daleko.

Zwolennik niegdyś tańca, dziś łzawą powieką
Śledzę koła tańczących—Darmo młodzież wzywa—
Darmo chcę się przymuszać—Mazur się urywa—
Tracę parę—szukam jéj—ach! ona daleko!

Ha, otóż i kontradans. Może blade lice
Co tak mi przypomina jéj kibić, jéj oczy,
Stłumi tę walkę uczuć, ukoi tęsknicę.

Napróżno—To dłoń skrzepła, wzrok nocą się mroczy,
Twarz bez życia—Niestety! a jam śmiał w martwicę
Wtajemniczać jéj obraz i jéj wdzięk uroczy!

XXXIV.

DOBRANOC.

Długom patrzył w jéj okna—Jak odcień księżyca
Pełgał blask w jéj sypialni leniwy, przyćmiony,
Jakby konając zionął życiem na salony,
Aż okrył mrok sypialnię, a serce tęsknica.

Teraz odblask méj lampy szybom jéj przyświeca
I przez białe zazdrostki naprόżno strzeżony
Wdziera się jak kochanek smutny, zrozpaczony,
By skonać u wezgłowia całując jéj lica.

Dobranoc—dobranoc piękna! niech senne marzenie
Lepszém cię darzy szczęściem niż dzienne widziadła;
A gdy cię ranek zbudzi i późne ocknienie

Do nowych wezwie zwycięztw, zapytaj zwierciadła
Czy noc miniona z wdzięków twoich nic nie skradła,
I podsłuchaj czy piersi nie wzdyma westchnienie.

29 Sierpnia 1847 r.

XXXV.

Już więc i świat i ludzie przeciw mnie powstali.
Tyś mię dawniéj tkliwemi darzyła wyrazy,
Dziś—w słowach oderwane myśli i obrazy,
Dziś—w twém sercu bronzowém uczucie ze stali.

Bywało, gdy namiętny ogień pierś zapali,
Zdolny byłem rostopić i lody i głazy;
Dziś—powolny na srogie oczu twych rozkazy,
Siedzę niemy i wzdycham, albo dumam w dali.

O czém dumam? dla czego tak mi płonie lice?
Sam nie wiem; chciałbym mówić i język niemieje,
I twarz często skrywaną zdradza tajemnicę;

Ledwo wyrzekniesz słówko, podniesiesz źrenicę,
Wnet całe męztwo, moc duszy westchnienie rozwieje—
Sam nie wiem co się z biedném sercem mojém dzieje!

Petersburg
25 Lipca 1845 r.

XXXVI.

Przebiegłem wzdłuż *Bojary*, byłem pod *Wygodą*,
Na *szosse* spotykałem niezliczone tłumy—
Jedne pełne powagi, drugie pełne dumy,
A wszystkie tak znaczące strojem i urodą.

Lecz w nich żadna nie błyska twoich lic pogodą;
Bo posępność, ta cecha narodowéj dżumy,
Zaraziła ich dusze, myśli i rozumy—
Wesołość u nich zbrodnią, samolubstwo modą.

Błyśnij Litwy pierwiosnku nad podlaskie kwiaty.
Niech czczą bóstwo piękności i z lica i z szaty!
Skiń—a upadną, spójrzyj—zgasną róż szkarłaty.

Próżno cię zawiść śledzi i przesąd odpycha.
Niechaj wielbiąc twe wdzięki Zoil się uśmiecha—
Kwiat twój w laurach poety nigdy nie usycha.

XXXVII.

Czyż zgłębię kiedy przepaść w nieprawości rzece!
Ciało uschło jak siano—już nim duch nie włada—
Dni się chylą do końca—o biada mi, biada—
Biada kto ufa światu i jego opiece!

Za chwilkę już mnie niema; już—już w przepaść lecę.
Ah! zaledwo zacząłem istnieć, już zagłada
Dybie na młodość, życiu noc przyświeca blada
I za życia wśród żywych potępieńcem świecę.

Zawsze sobą i światem człowiek tak zajęty,
Że wzrok tępy na przyszłość po świecie się miota.
Młodość krasi byt jego rajskiemi ponęty,

Przyszłość jego—kobiety, miłość—jego cnota!
Wiek późniejszy szczęśliwy gdy młodości męty
Może spijać, a starość gdy ma dosyć złota.

XXXVIII.

WIDOK NA OKOLICE MIASTA.

Lubię z okna podziwiać wiejskie okolice.
Gdy widok miasta uśpi suche wciąż dumania,
Jak mi błogo! gdy z okien cichego mieszkania
Oglądam przyrodzenia dziwy, tajemnice.

Oddycham życiem—zdrowiem—Wytężam źrenice
I krajobraz mi boskie piękności odsłania.
Patrz, jak cudny blask słońca gdy w chwili skonania
Ostatni promień wybił na księżyca lice.

Płynie dumny król nocy na srebrnym obłoku;
Gdzie-niegdzie pełga gwiazdka; tam—ktoś miga w dali.
A,—to miasta mieszkańce, ci tylko o zmroku

Zwykli poruczać myśli polom, lasom, fali—
Już wracają. Tak koncha gdy ją słońce pali
Objawia się i znowu wnet usypia w stoku.

XXXIX.

Gdzie ma przeszła wesołość, niewinne pustoty,
Urok— co się tak mile w dniach wiosny uśmiechał;
Roskosz— jaką niedawno cały świat oddychał,
I niedawno miniony wiek uniesień złoty?

Minęły dni wesela i rajskie pieszczoty.
Pieszczoty, którem z wzgardą od siebie odpychał;
A to, za czém goniłem, do czegom tak wzdychał,
Dziś naznaczone piętnem czczości i tęsknoty...

Tak motyl pośród nocy światełkiem znęcony
Leci w płomień na oślep—a głos go życzliwy
Pozdrawia że bez skrzydeł został przecież żywy...

Cóż mu z życia bez skrzydeł? Cóż gdy pozbawiony
Wzroku wlecze dni ciemne? O, stokroć szczęśliwy
Kto lecąc w płomień—spłonął, lub skonał—olśniony.

XL.

Były czasy gdy bujnéj młodości zabawy,
Szumne biesiady, miłość, młodych wzruszeń szały
I bezwzględna swawola pióro w dłoń rzucały;
Kiedy myśl-wulkan ducha głuszył światów wrzawy.

Świetne jéj były wówczas na Parnas wyprawy.
Jak grom burzy—jéj tchnienie, polot orli, śmiały
I byt samodzielny, wzniosłe ideały...
Dziś—myśl jakby szczątki zdruzgotanéj nawy;

W mroźnym maju méj wiosny chłód zwarzył uczucie,
Smutek oskoczył duszę, cichość pierś osiadła,
Westchnienie—jak pieśń grobu, jak zgonu przeczucie.

O sny młode! wasz obraz jak w szczątkach zwierciadła.
Odbija mgłą zasute mary i widziadła,
A pieśń życia brzmi w ledwo dosłyszanéj nucie.

1849 r.

CHAUTURY.

SZKIC DRAMATYCŻNY

W TRZECH CZĘŚCIACH.

Chautury—słowo powszechnie używane na Rusi—to samo co stypa, dziady, dzień zaduszny, uroczystość na pamiątkę zmarłych. Właściwiéj jeszcze: *chautury*—stypa, *chautury wielkie*—dzień zaduszny.

W ludowém narzeczu Rusi *au* jest dwógłoską jak *aj*, *oj*, *uj*. Ztąd więc *Chautury* składa się z trzech sylab *Chau-tu-ry*, i wymawia się jeszcze jakby *Chawtury*.



„Świeć Panie duszy jego, niech Nieba używa,“ (str. 94).

PRZESŁANIE

Do

ADASIA.

Śród mogił, grobów, śpiewał nam bard młody,
A piosnkę czułość podsłuchała bratnia
I szle ją w późne wieki i narody,
By nie umarła nuta jéj ostatnia.

Dużo z jéj zwrotek po świecie zginęło,
Dużo spoczęło w zapleśniałéj tece,
A inne błądząc gdzie wesele tchnęło,
Dawno usnęły w zapomnienia rzece.

Kilku oddźwięków ze znajomej piosnki
Dotąd nie starła strasznych zdarzeń matnia—
Przyjm więc Adasiu! wspomnień mych pierwiosnki
To pieśń ma pierwsza—może i ostatnia...

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Kilka [illegible] piosnki
[illegible]
Przyjm więc Adamie [illegible]
To pieśń [illegible]

GUSTAW—potem KLECHA i GRABARZ.

(Cmentarz na spadzistości góry—W oddaleniu na prawo miasto; widać mury kościoła, zamku i miejskiego więzienia—Na wzgórzu z lewéj strony przy cmentarzu opuszczony młyn wietrzny — Późny wieczór—potém noc).

G u s t a w

(sam na wzgórzu cmentarza, niedaleko kaplicy).

Jak tu dobrze,—spocząć miło—
Tu—nad przeszłości mogiłą,
Usnąć w samotném marzeniu
I śnić o tém w uniesieniu,
O czém się nigdy nie śniło;
Czego myśl śmiała,
Urojeń ziemskich anioła
Nigdy utworzyć nie zdoła
I nie zdołała!!

Jaka tu cisza—nigdzie życia znaku—
Umilkła wietrzna muzyka wiatraku—
Na skrzydłach jego drzémią jeszcze nocne cienia—
Coraz gęściéj i gęściéj piętrzą się—aż w dali
Zbudził je blask odbity od kościelnéj stali,
Oblał zamek i skonał na murach więzienia—

Otóż i noc—śpi miasto, szumiące przed chwilką,—
Milczy wzgórze, dolina—usnęli mieszkańce
Snem twardym, głuchym—straż więzienna tylko
I blade w oknach jego czuwają kagańce—

Szczęśliwy czuwający w noc gdy niebo, ziemię
Napełnia słodycz niema, roskoszna, ożywcza,
Cicha jak dzień wiosenny, jak młodość porywcza
I samotna jak echo w samotnym teremie!!

Jeszcze mglisto, nieśmiało poziera z-za-chmurek
Blady król nocy—tysiącem gwiazd strojny,
Coraz jaśniéj lśni, gore i wnet potok złoty
Oblewa wskroś dolinę, miasto i pagórek;—
Jakby dziergany z złota i drogich paciórek,
Płynie w górze krajobraz cichy i spokojny...
A na sinem przestworzu z białych tkań obłoków,

Ileż w kalejdoskopie przedwiecznej roboty
Snuje się różnych kształtów—obrazów—widoków.„.

Owdzie rycerz, bohater wyciągnął ramiona—
Tysiąc cieni, półcieni, obrazów tysiące,
Jak kwiaty różnofarbne na majowej łące,
Chwilkę przed nim mignęły i wnet je pochłonął;
Wzrosł w bryłę, w całość wielką,—a gdy z głębi łona
Szarawe plamki zionął
I wiatr je owionął,
Prysnął w gwiazdki świecące,
I wskróś po niebios błękicie
Pełga dziwnie niekształtne obrazów rozbicie...
Jak w tysiącu wypadków biedne nasze życie.

Tu szeregi rycerzy i w bojowym szyku
Rozsypały się po niebie.
Piesi, konni,
Uzbrojeni i bezbronni,
W różnych barwach postacie, bez miary, bez liku,
To gęste, to rozpierzchłe kroczą przeciw siebie.
Już się zbiegły w porządek—prą się lekką falą—
Pióra na ich szyszakach—broń im miga w dłoniach—
Olbrzymi jezdcy w bieli—na olbrzymich koniach—

To śmigają w krąg wielki, to na pieszych kroczą—
A gdy tarczę księżyca cienie w locie zoczą
Widać jak w cześć mu głowy uchylają nisko
I nim się uszykują na nowe igrzysko
Wolniejszym śpieszą biegiem—Z pod białéj ich szaty
Coraz jaśniéj i jaśniéj—to zdala—to blisko—
Błyszczą gwiazdki jak wojska rozpłoszone czaty—

Tam sterczy obłok ciemny jak stare zamczysko,
U jego podnóża
Gaje, łąki, bezdroża,
Morza, wyspy i skały
Zawisły, lśnią się, płoną—aż z pod górnych szczytów,
Śród niebios błękitów,
Spędzą je mórz rozbicia olbrzymie kawały.

Jakaż to wstęga po niebie
Od wschodu na zachód śmiga?
Czy skry ognia, czy złoto w łonie swojém dźwiga,
Że tak wokoło siebie
Rozwiewa chylat lśkniący od gwiazd i purpury;
Że jako wody bąbelki,
Jak drobnéj rosy kropelki,
Tak złociste iskry ciska,

Pełga, migoce, lśni, pryska
I wężykiem w krąg drobny zwija się u góry?!

Tam mleczną drogą...

(Niebo się chmurzy, księżyc kryje się za obłoki—Gustaw jakby nieco zmięszany)

Czegóż się księżyc tak zapłonił?
Jakby ostatnią iskrę przed chwilką uronił—
Wszedł do mrocznych pałaców, kędy noc zmarszczona
Zarzuciła żałobną barwę na ramiona,
I w mroku obojętnie wzdychając do koła,
Tchnie w duszę sny młodzieńcze i słodkie wzruszenia,
Jakie pamięć przeszłości zaledwo wywoła
I błoga chwilka marzeń—westchnień—przypomnienia!!!

O! któż pojąć w siłach w stanie
Obraz duszy uczuć tkliwych,
Gdy w chwilach lubych, szczęśliwych,
Iskra wspomnień zmartwychwstanie,
I wyobraźnia, senna marzeniem,
Ciasna by spocząć w granicach świata,—
Nad sferę wyżéj i wyżéj ulata
I czarodziejskiém natchnieniem,

Dni i godziny i lata
Jedném obudza westchnieniem
I w jego łonie gubi żądło życia.—

Tak do grobu od powicia
W przestworze świata rzucony
Człowiek czuje że stworzony
Żyć i czuć roskosze życia;
Tak w sobie samym gubi się człowiek
I mając duszę do uczuć stworzoną,
Jedném ocknieniem, otwarciem powiek,
Jedną szczęśliwie chwilką przemarzoną,
Jedném szczęśliwém marzeńkiem o niebie,
Zgon albo życie zwiastuje dla siebie—

(po pauzie)

Zgon albo życie—lecz czém się odróżni
Zgon od życia gdy ledwo jest słabém istnieniem,
Gdy świata nie ogarnia, nie zapełnia próżni
Jaką w niém ziemskość nieci; gdy pod trosk brzem ieniem
Nie upada—nie skarży—albo rad swéj doli
Życiem się nie weseli, nad zgonem nie boli?..

Jak dziwaczny człek sam w sobie!
Tysiąc mar sprzecznych nim miota—

Raz do skoków w nim ochota,
To znów jęczeć rad w żałobie,
I sam nie wie wzruszeń celu,
Co nim miota—nie odgadnie,
Sam jest panem i nie władnie—
Z tajemnych cudów tak wielu
Nigdy na myśl mu nie wpadnie:
Zkąd wzrósł—i jak istnieje—i dokąd przepadnie?!

Choć z obłędu ziemnych tworów
Zdmuchnie czasem mgłę nicości,
Lecz nie długo z prawdą gości—
Tłum domniemań, tłum pozorów,
Jako błyski meteorów,
Śmigną przed okiem badacza,
Pozorem prawdę zaciemią,
A zamknięty w swoim świecie
Tak daleko wzrok zatacza,
Taki kres wiedzy naznacza
Jak gdyby już nie było światów po-za-ziemią.—

Zkąd w nim ta wyższość i nikczemność taka
Że nie większy od robaka,
Od drobnego, mdłego pyłku,
Od stworzeń, co nie wzrok człeka

Lecz zaledwie duch docieka—
Jak bez ruchu, bez zasiłku
W rzędzie tworów świat zalega.
Każde ciężar życia dźwiga,
W głąb morza, w świat, w niebo śmiga
I wspólnie się z człowiekiem o żywot ubiega...

Człowiek—tak wielki i nikczemny
Tak dziwaczne w nim uczucia!...
Nieszczęśliwy stan zepsucia!
Człowiek niemy, głuchy, ciemny—
Bo oświata mu olśniła
Wzrok na piękność przyrodzenia;
Bo nauka naznaczyła
Granice władzom myślenia;
Bo w nim sztuka zagłuszyła
Harmonijnych wiatrów pienia,
Harmonijne światów dźwięki,
Przyrodzenia boskie wdzięki...
Zmalał, zeszczuplał człowiek na tej ziemi,
A jeśli wzniósł się do wyższego świata,
Jak cudzoziemiec błądzi między swemi,
I rzadko, rzadko znajdzie w człeku brata....

Brat—człowiek, to myśl Boga—czemuż tak daleka
Od prawego pojęcia myśli tej myśl człeka?
A ta ziemia, ten odłam przedwiecznéj planety,
Gniazdko pliszki, zlepione z przedstworzenia szczątek,
Ze szczątek przedpotopu, szlachetnych żyjątek,
Z ogniwek sił przedwiecznych, lśniących u swéj mety,
Któremi raz popchnięta, oddziaływań mocą
Kołysze się pośród świateł, co nad nią migocą—
Ta ziemia jakże mała! jakże na niéj ciasno
Drobnym pyłkom strząśniętym z nieśmiertelnéj szaty
Tego, co byt dał światom i sam rządzi światy!!
Jaka mgła ją zalega! jak mroczno, nie jasno
I duszno na téj ziemi rodzonym jéj synom,
Synom warst skorupiastych starego chaosu,
Z jakich mistrz-twórca wywiódł dno suchym krainom
I wylał wody w ich tonie! Jak smutnego losu
Smutnéj doli ofiarą padło ziemi dziecię...

. . . .

Gdy boskość nęci w górę, ziemskość na dół gniecie

. . . .

Widziałem jak się pysznił królewicz bogaty,
Spał na łożu pokoju, przy nim wielkość spała;—
Przyszła nędza co w sieni czekała przed laty,

Znikły wielkość, bogactwa—nikczemność została.

Widziałem jak po świecie pozierał szeroko
Mocarz, co milionom rozkazywał ludów;
Przyszedł wróg, pięść zniszczenia wtłoczył w pierś głęboko,
Padł mocarz—został tylko żal zużytych trudów...

Widziałem jak młodzieniec pełen życia krasy,
Igrał—tonął w roskoszach i pomiatał ziemię—
Aż się niemoc przywlokła nieznana przed czasy
I upadł—a starości przygniotło go brzemię...

Widziałem bóstwo wdzięków, młodości, urody;
Świat się dziwił piękności jak cudom na niebie—
Wtém przyszła starość, krasą wstrząsły niepogody—
Piękność płacze przeszłości na wdzięków pogrzebie...

(zamyśla się—po pauzie).

Wzniosłem się w górę—widziałem ziemię—
Świat jak na dłoni cały podemną,
A na świecie—tak nisko, tak ciemno,
I ród szlachetny—człowieka plemię—
Niewiadomości dźwigając brzemię

Lęka się oczy podnieść do góry....
Spojrzeć ku niebu, myśl ze snu zbudzić
Rdzawą w ogniwie kajdan żywota,
I woli się raczéj cały wiek łudzić,
Niż śmiałym palcem tknąć cieniów wrota
I rozproszyć mgłę.—Ciemnota!.. ciemnota!—

(Zwiesza głowę na ramię—wpada w zamyślenie—W oddaleniu daje się słyszeć głos przybywających na cmentarz. Klecha z latarką i grabarz z motyką).

KLECHA i GRABARZ.

Klecha.

E, mój bracie tak samo bywało z początku
I pono już tak będzie póki stanie świata.
Śmierć nie patrzy kolei, nie robi wyjątku,
Nie zważa na dostatki, urodę i lata,
A miałażby jeszcze zważać—ba mówię, nie żeby
Na płacz młodych, żal panów, na biednych potrzeby
Ale i na grabarzy, sług téj imościanki?

Grabarz.

To prawda—często przy niéj mamy my za swoje.
Dziś się spodziewać dobréj od Chauturów grzanki.—

Ja nie tém, bracie! moją głowę niepokoję.
Ona zwykle dla siebie sama pieczeń piecze,
A nasz brat się pożywi że ją tu (pokazuje na mogiłę)
przywlecze.—
Ale ja ci powtarzam com już mówił nieraz:
Że grób ten i nieboszczka z całą swą zapłatą
Nie powrócą nam nocy, jaką stracim teraz
Przy tapczanie,—z kantyczką—A cóż powiesz na to
Że Pleban chce z szpitalną całą kalwakatą
Sam siedzieć, śpiewać pieśni może i do ranka —

Klecha.

Bodajby być biednym—cicho skona—w grób schowają—
A panom i po śmierci pokoju nie dają.

Grabarz.

Ale, bo nie wiesz—zmarła siostra czy kochanka
Jakiegoś tam jego ucznia, przyjaciela—może
I księdza grzech tam został—odpuść Panie Boże!

Klecha.

A ksiądz-że to nie człowiek? Dajmy pokój temu,
A raczéj myślmy o tem jak zabieżéć złemu

Że sąsiednie kalectwo z bliskiej okolicy,
Jak morowe powietrze wyniszcza po trosze
Należne nam dochody; a te szczodre grosze,
Które hojnie wprzód sypał kollator kaplicy,
Teraz łupi hałastra w domach, na ulicy,
Że biedny klech zakropić nie ma czém robaka.

Grabarz.

Nie pora o tem myśléć—Mnie nie wyjdzie z głowy
Że ten ksiądz tak uczony, tak w zdaniach surowy,
Płacze baby jak gdyby stracił jedynaka—

Klecha.

Po kim płacze? co gadasz?

Grabarz.

Mówiłem już przecie
Po nieboszcze Imości, nad której mogiłą
Stojemy—ale patrzaj... (pokazuje na mogiłę)
A! (dziwi się) cóż się też zrobiło!
Znać i ziemia nie sprzyja... Świeć Panie kobiecie!
Rano dół jak szklaneczkę wyrządziłem wszędzie,
W kołom boki wyrównał i wygładził ładnie,

Zostało ledwo kilka garści ziemi na dnie,
A teraz patrz! znów wszystkie opadły krawędzie.

Klecha.

Za nic cała robota.

Grabarz

(biorąc motykę i zaczynając kopać i wyrzucać piasek)

Bierzmy się więc do niéj—
Już późno—a nim Klefas w wielki dzwon zadzwoni
Na pacierze, wszak trzeba przynieść tataraku,
A może i jedlinką, usiekaną drobno,
Usiać kościół, babiniec; zapewna dla znaku
Trzeba wywiesić dużą chorągiew żałobną—
Wszak za to wszystko nasza głowa odpowiada—
Kto postawi katafalk? kto świece urządzi?
Kto całuny rozściele? kto powinność dziada
I grabarza tak spełni? O, ciężko ten błądzi
Kto myśli że do książki tylko głowy trzeba.—

Klecha.

Jak kto może pracuje na kawałek chleba—
O kondukt—ty się nie troszcz, zrobimy bez ciebie,

Klech pomyślał i będzie butno na pogrzebie—
Proboszcz listy rozesłał do swych dobrodziejów,
I sędzia, mąż nieboszczki przysłał jeszcze wczora
Suto jadła i trunków—Za to ksiądz z wieczora
Na całą noc słał Wieka po trzech kaznodziejów—
Rozesłał okólniki—rozpisał precz, wszędzie
Do księdza Deputata, co to basem śpiewa,
Do Dziekana sąsiada, choć się z nim i gniewa,
A wszystkiemu sam pewno celebrować będzie.
Krom tego, jeśli wierzyć, mówił mnie Wikary,
Że będą księża z Wilna od wszystkich zakonów,
Od większych i od mniejszych, z Katedry i z Fary—

Grabarz.

Otóż biedne dziady nabiją się dzwonów!...

(po pauzie)

Ztąd widzisz, nie bez *racyi* tak się Proboszcz zwija,
Musi ciężyć grzech stary—bo mówią za młodu
Był zuch swego czasu...

Klecha.

O Jezu Marya!

Grabarz.

Dla przyjaźni za wiele—ho, z tego powodu
Mniéj pewnoby się krzątał.

Klech.

On tak dobroduszny!

Grabarz.

Ale któżby chciał tak wieczór zabijać zaduszny...
(nagle się zatrzymuje zdziwiony i wyskakując z dołu z butelką w ręku)
Patrz, patrz—przyjacielu! los nas opatruje—
Tu miłośnik butelki zapewna spoczywa.

Klecha.

Wieczny mu pokój w grobie, szczerze go żałuję.

Grabarz.

Świeć Panie duszy jego, niech nieba używa.
(odbija motyką szyjkę u butelki, pije i smakując podaje towarzyszowi)
Na, sprobuj—tu nieboszczyk, zuch nie lada jaki.
Takim skarbem nie tylko my kościelne żaki
Lecz i ksiądz by nie wzgardził...
(siada wedle Klechy na grobie)

Klecha (smakując)

To mi to gorzałka!!

Grabarz.

Szkoda, nie mamy z sobą chleba ni kawałka.

Klecha (oddając butelkę)

Powtórz haust na zakąskę... (po chwili)
Poczekajmy końca.
Prawda—że i jam nigdy księdza jegomości
Nie widział tyle czułym i w takiéj rzewności.—
Wczoraj za mszą nieszpory, tuż—jak wiesz, wypadły.
Po żałobnych nieszporach nad zachodem słońca
Na powtórne kazanie proboszcz nasz wybladły
Wyszedł, stanął, zapłakał i nuż do nas: „Dzieci!
Dni nasze jak dni kwiatka, jako dni motylka.
Bóg wie czy jutro dla nas słoneczko zaświeci“...
Choć gadał potém długo—alem ledwo kilka
Słów złapał—dość mi było;—bo kto przy kościele
Już się kazań nasłuchał, temu trza nie wiele,—
I jak wiesz nie dla kształtu noszę tylko głowę;
Umiem siła zamawiań i siła pacierzy.
Czy komu febrę spędzić; czy djabła niemowę

Wygnać z baby; czy siłą święconych szkaplerzy
Pozbywać się uroków; czy na suche bory,
Na lasy bóle zębów wyprawiać z karteczką;
Czy ostudę w staw rzucać z święconą szmateczką;
Czy chorągwią mor wywieść z stajni i obory;
Czy chlebem straszyć pożar, albo grzmoty dzwonem...
Wszak każdy leci do mnie z datkiem i pokłonem.—
Przy téj wszystkiéj nauce słuchacz ze mnie dobry—
I nie raz, nie raz tego dałem już dowody...

(pije z butelki)

Grabarz.

Pewno mu się zebrało na płacz z téj przygody?

Klecha.

Na płacz... Sam ksiądz i wszyscy płakali jak bobry;
Jam tylko stał i westchnął i pomyślał sobie:
Znać księże coś innego serce ci zakrwawia;
Bom nieraz już go słyszał jak kazał przy grobie,
Ale to człek bywało inaczéj rozprawia.
Dziś—Boże odpuść! Proboszcz na dwa Dekanaty,
Dziekan, Teolog rzewnie płacze cudzéj straty...

(po małym przestanku)

Potem, gdy z organistą mówił o pogrzebie,
Sam łzy w oczach widziałem—jak Pan Bóg na niebie!
I zakrystyan był przy tém—o hańbo! sromoto!
Pytaj kiedy nie wierzysz—

Grabarz.

E, to mniejsza oto—(pije)
Tylko niepowrócony żal zadusznéj nocy,
Nocy, w któréj bywało człek się *zachauturzy*,
Że ją pomni do zapust i do Wielkanocy,
A teraz siedzieć z księdzem....

Klecha.

O! wprzód się ksiądz znurzy
Nim dziad ciała odstąpi aż je w grób zasypie...
(zapytując)
A nie wiesz, jadła, picia będzie dość na stypie?

Grabarz.

(rozmarzony, nie odpowiadając wcale na zapytanie)

Biedni to ci umarli—jak im ciasno w grobie...
Jak ciemno... jaki ciężar przyciska ich ziemi...
Jaka tam ciężka zima!.. I czemu to sobie

Człowiek wieki nie żyje... a to zęby szczemi
Że i kropli napoju...

(zwracając się do Klechy któren już drzemał)

Posłuchajno kumie.
A, on już usnął sobie... o głowo ty, głowo!
Tyleż to człek wypija,—jednak przy rozumie—
Z mowy swojéj pamięta każdziuteńkie słowo—

(śpiewa drzémiący)

Śmierć wszystko zmiecie
Na tym głupim świecie...

(potém nagle zmieniając ton piosnki)

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy,
I noc ma spokojną i dzień nietęskliwy!

(usiłując wstać trąca Klecha, który się przebudza. Oba zaczynają szeptać pacierze—Grabarz bierze się za motykę).

Gustaw

(usłyszawszy nótę znajoméj śpiewki wstaje)

Ha! gmin-że więc w pamięci
Starą zwrótkę święci?!
A co niegdyś tak tkliwie nuciła mi ona,
To dziś... cha, cha — (śmieje się) powtarza

Piosnka prosta, nieuczona
Klechy i Grabarza.

(po chwili)

Lecz skądże wszystkie piosnki ma świat wykształcony?
Podsłuchał je bezkarnie u ludu, u gminu—
Porwał, skradł, i na domiar zbrodniczego czynu
Przelał je w swoje kształty.—Słowa oderwane
Od serca, jako kwiaty zwiędły—wonie zlane
Na papier, moc swą utraciły,—pierworodne tony
Brzmią w zwrótkach jak oddźwięki muzyki przyrody,
Skażonéj sztuką uczuć, miłości, swobody—

(powtarza sobie)

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy,
I noc ma spokojną i dzień nie tęskliwy....

To właśnie myśl stosowna w pamiątek kościele,
Wśród cmentarza, wśród świeżych mogił...

(podchodząc do Klechy i Grabarza i trącając ich)

Przyjaciele!

(Klecha i Grabarz obudzają się — podnoszą się — wydają krzyk przestrachu i śpiesznie odchodzą zataczając się—Gustaw postępuje zwolna ku drzwiom cmentarza, do których wchodzi ksiądz z brewiarzem w ręku).

[illegible]
Kiedy i Grabarza.

[illegible]
Podsłuchał je [illegible]
Porwał, [illegible]
Przelał je w swoje [illegible]
Od serca, jako kwiaty [illegible]
Na papier, moc swą [illegible]
Brzmią w zwrotkach jak [illegible]
Skażonej sztuką [illegible]

Kto [illegible]
I [illegible]

[illegible]
Wśród [illegible] mogił...

[illegible]

[illegible]

CZĘŚĆ DRUGA.

GUSTAW i KSIĄDZ.

Ksiądz.

Kto jesteś? zkąd przychodzisz?

Gustaw (przerywając)

Przychodzę zdaleka
I daleko mam nazad kędy....

(ucina mowę i jąkając się)

Mnie ktoś czeka.
Ale ojcze duchowny! powiedz—pytam ciebie—
Czy zdołam na *kondukcie* być i na pogrzebie
Kochanki twego ucznia—przyjaciela—brata—
Choć zresztą nie wiem czyjéj, bo trudno u świata
Zbadać prawdę—wiem tylko że *kościelne gbury*
I *żaki* tracąc dzisiaj łube im *Chautury*,

Złorzeczą wam..

K s i ą d z. (nieco zmieszany)

Tak—prawda—umarłéj dziewicy
Mamy tutaj mieć pogrzeb—ciało jéj

(wskazuje na kaplicę)

w kaplicy.
Skoro *bractwo* przybędzie, za nią się pomodlę,
Tymczasem spocznij w ciepłéj izbie

(wskazując na prawo)

ot tu, *wpodle*.

G u s t a w.

Dziękuję—mnie tak dobrze i na chłodnym dworze,
A po mojém strudzeniu dość spoczynku chwili...

(zamyśla się)

Któż wié gdzie poszlą znowu nim zabłyśnie zorze.

(przerywając nagle)

Mówiłeś że będziemy tutaj się modlili...

K s i ą d z.

Dobrze—ale tu chłodno—lepiéj pośród ludzi
I przy ciepłym kominku; przyjm gospodę u mnie.

Chłód przyrody młodzieńczy zapał wnet przystudzi...

(z uśmiechem)

Czy znasz ty chłód mogilny w domu zmarłych—
w trumnie?

Gustaw (powtarzając zwolna)

Chłód w domu zmarłych—w trumnie...

(nagle, z zapałem)

A znasz płomień ducha?
Znasz płomień namiętności tu,

(pokazuje na piersi)

głęboko, na dnie....
Gorętszy od płomienia jakim piekło bucha,
Ognistszy od pioruna jakim niebo władnie?..

(powtarza z ironją)

Wśród ludzi... (żałośnie)
obcym dla nich i mnie widok ludzi
Zabija jak niedźwiadka jadowite oko.
Ich przytomność bolesne przypomnienie budzi,
Duszę jadem zatrutą rozrania głęboko.
Tu tylko, w oddaleniu, pośród grobów, w ciszy,
Póki myśl nie uciecze w krainę pamiątek,
Nie obudzi wspomnienia dawnych towarzyszy...

Koniec moich roskoszy... nieszczęścia początek...
Póki na świat źrenicą obcego poglądam
Jestem—ach! tak szczęśliwy, niczego nie żądam—
I dawne zaślepienie nadziei, życzenia,
Ogarnia jedna chwilka błogiego marzenia!!
Pamięć—koncha przeszłości—nieoddzielny świadek
Przemarzonych dni, godzin, ubiegłych roskoszy,
Któréj ni czas, ni miejsce, ni losu przypadek,
Ni istne nawet szczęście nigdy nie rozpłoszy—
Pamięć, ta straszna mara, w boleść mię wprawuje,
Żyje w duszy i duszę jadem swoim truje.

(chwilka milczenia)

Przeskakałem mą wiosnę—ach! lat mych pierwiosnki
Rozkwitły kiedym ledwo przeczuwał jéj przyjście,—
Rozpękły się ich pączki, wywinęły w liście,
I mąż-dziecię już ziemi powierzał swe piosnki
I tęsknił;—patrząc w przyszłość czytał smutne dzieje
Lat zaledwie dziecinnych i smutniejsze jeszcze,
Gdy młodzieńcem miał gonić po świecie nadzieje,
I stokroć znów smutniejsze gdy natchnienia wieszcze
O światach istniejących od ziemi zdaleka,
W więzach słowa malały, nikły i oddechem
Strutych wrażeń wlewały piekło w dziecię-człeka...

Piekło—jakiego anioł skaran pychy grzechem
Nie nosił nigdy w sobie..... (po pauzie)
I wreszcie niestety!
Najsmutniejsze gdy obcy dla ludzi i świata
Z snów dzieciństwa-fantazyi, z snów dziecka-poety
Zbudził się wróg i wulkan wrzący w głębi łona
Wybuchem zdradził dźwięki dotąd tajemnicze:
„*Tyś młodzieniec*“—gdy młodość podniosła ramiona,
Schwyciła jak błyskotkę te czysto-dziewcze
Te pierworodnie-święte uczucia, nieznane,
Obce wówczas i ledwo, ledwo przeczuwane...
I gdy—wspomnieć lubo!—ten wybuch wulkanu
Urzeczywistnił sny dziecka aby je roztrwonił,
W nowych znów ideałach, jak w mgłach huraganu,
I wzniosłszy zawiesił tam zkąd piorun zadzwonił:
„*Ty kochasz młodzieńcze*“...

Ksiądz.

Żal dręczy cię daremnie.
Poco stronić od ludzi, uciekać od świata?
Któż zgadnie co Bóg zrządzi—może też wzajemnie
Weselem ból nagrodzą nadchodzące lata.
Miéj nadzieję, a troski porucz Ojcu w niebie...

Wznieś się nad siebie...

Gustaw.

Tak, tak—wzniosę się nad siebie,
Nad pamięć, nad namiętność i w uniesień wirze
Stworzę świat, niebo, piekło, roskosz i katusze,
Zawrę z nimi (zatrzymuje się)
tak z nimi... wieczyste sojusze
Przyciągnę łańcuch zgody, ogniwa ich zbliżę,
I —

Ksiądz. (przerywając)

Po co tworzyć świat nowy, mierzyć świata krańce.
Piekło, niebo—to przyszłe ostateczne rzeczy.
Boskiego człek nie zbada, ni rozum człowieczy.

Gustaw.

O! bez uczuć, bez duszy, wy światła kagańce!
Rządcy dusz! władcy wiary wolnego szafunku!
Co ćmę ludom rzucacie w domniemań obłędzie
I wskazując prawd drogę w przeciwnym kierunku,
Wnosicie na świat piekło!—chcecie znać co będzie—
Zbadajcie naprzód siebie. Tu
(pokazując na piersi)
w duszy człowieka

Leżą cuda tajemnic, mieszka niebo, piekło.
Tu kraj niebiańskich marzeń, młodości tortury;
Człowiek obdarzon niemi od dawcy natury,
Raz ich nie zna, nie czuje, to z rozpaczą wściekłą
Targa więzy, któremi ciało duch krępuje
I w złotéj wyobraźni geniusz wysoki
Tak się wzbija wysoko, strudzenia nie czuje,
Oddycha czystém światłem, usuwa obłoki,
I, jak gdyby z człowieczka katarakta spadła,
W czystém niebie wzrok topi—Tam boskie widziadła,
Piękniejsze nad sny młode, poetów zmyślenia,
Ognistsze nad namiętność, wyższe nad marzenia,
Wzrok badacza unoszą w nadniebne przestworze.
Tam tysiąc nowych światów, nowa ziemia, morze
I błądzące gwiazd kręgi i mgliste miesiące
I wiekowieczne słońce, nigdy nie gasnące
I na gwiaździstém niebios płonących jeziorze,
Od światów niewidzialnych aż do ziemskich osi,
Tam gdzie rozjemcza przepaść wszystko, wszystko chłonie,
Gdzie sobą wszystko, wszystko ogarnia, przenika,—
Bogatszy nad granity, safiry, topazy,
Bogatszy nad niebiosa, tysiąc, miljon razy,
Czemu zrównań nie znajdą myśli śmiertelnika,

Przedwieczny, niestworzony tron tronów się wznosi.
Na nim *wieczność* w troistéj bóstw czasu koronie—
A choć przeszłość z przyszłością chylą się pod stopy,
Jak w szklannem dnie jeziora świetne niebios stropy,
W jéj twarzy teraźniejszość wiecznie, wiecznie płonie...

Ksiądz.
(wahając się—z ironją)

A byłeś tam? jak długo?

Gustaw (z mocą)

Ztamtąd—całą ziemię
Widziałem jak na dłoni—tam—nisko—podemną—
I na tym świecie—przebóg! jakże nisko—ciemno—
A w około mnie gwiazdy, co jeszcze w powiciu
Przyświecały memu życiu,
I potem tak się wzniosły wysoko—wysoko,
Że gwiazdki na tle ranku już nie dójrzy oko.

I wstał ranek ze wschodu, otrząsł srebrne włosy,
Zgiął kolana przed tronem i jak kwiatek w grudniu
Omdlał, perełką lśniącéj zasłonił się rosy,
Zniknął we mgłach i miejsce ustąpił południu.
I stała się odmiana—kraj dyszał gorącem,

Blask rozpostarł ramiona, wpłynął w okolice...
Jak gdy z łona nicości wielkość się wygrzebie,
I jak okręt dnem cięžkiém, nurt morza bodącem,
Blask przesiąknął widnokrąg, wdarł się na nadniebie
I runął u stóp tronu... zmrużyłem źrenicę—
Gdym spojrzał już był wieczór. Tak w życiu proroka
Tysiąc lat jak jedno, jedno mgnienie oka!

Ksiądz.

Ktokolwiek jesteś gościu, przychodniu mój młody!
Nie pytam cię kto jesteś...

Gustaw (przerywając)

Napróżnobyś badał.
Lat tyle już się silę, tyłem razy zadał
Sam sobie to pytanie. Pytałem przyrody,
Wiatrów, morza i ludzi: czy za karę zbrodni,
Lub w nagrodę za cnoty tyle wciąž przychodni,
Tyle świeżych pokoleń z podłej konchy pyłku
Skorupi się jak polip, lęgnie się, oddycha,
Tłoczy się na most życia, wzajem się zeń spycha?...

Pytałem grobów: czemu ten w ciemnym uchyłku
Cmentarza, ów śród grodu, tamten w polu, w lesie,

Ten na drogach rozstajnych; tamten srebrem, złotem
Błyska, a po tym ziele pasożytne pnie się?..

Pytałem lasów, gajów: dla czego dąb stary
Po nad karły-krzewiny wznosi swe konary?

Pytałem,—chciałem zbadać własne tajemnice...

(zamyśla się po chwili)

I u mnie byli kiedyś krewni i rodzice;
Lecz pieszczot ojca, matki, na ich słodkiém łonie
Zły los mnie pozazdrościł. Jak rozbitek jaki,
Przebiegłszy przez nieznanych oceanów szlaki,
Nieznany od nikogo, w nieznajoméj stronie
Tułając się i błądząc czerpałem po mału
Naprzód z studni swawoli, potem z morza szału
Jady śmierci, zniszczenia, które przez krew, żyły
Przelały się do duszy i duszę spaliły......

Ksiądz.

O biedny! nieszczęśliwy! widok to cmentarza
Pewnie ci przypomnienie drogich strat powtarza.
Lecz któż nie miał rodziców, matki, siostry, brata,
Kogóż równie nie boli pamięć ich i strata?
To wspólny wszystkich udział śmiertelnéj niedoli.

To Pan wszechmocny w smutnej doświadcza nas próbie.
On smutek, on da radość—...i tobie przeboli
Z czasem jęczące serce—a z żalem prawdziwym
Z żalem za żal niewczesny na Opatrzność świętą,
Za zboczenia z dróg świętych, jakie nam wytknięto,
Żyjący—młody—zdrowy—możesz być szczęśliwym—

Gustaw (z ironją)

Tyś młody— młody—powtarzają próżni.
Tyś w wiośnie życia—mówią mi kobiety.
(z żalem)
Cóż z méj młodości, z wiosny—kiedy ich niestety!
Od starości, od zimy nikt już nie odróżni....

(po pauzie)

Żyję—o, kto z was życiu tak się przyjrzał z bliska,
Ten żyjąc śmiało depcze po żywych mogiłach.
Młody jestem—a ciężar lat już mię uciska,
Wiosna wrześniem oddycha, zima płynie w żyłach.
Zdrowy jestem—a ciało słabe i zużyte
Jak gdyby wieki trwało, dech zaledwie roni...
Szczęśliwym—a chęć głodna, pragnienia niesyte
Ileż mar pochłonęły w niezgłębionej toni;
Nowych, wciąż nowych życzeń i nowych z kolei
Żądz, urojeń, zawodów, sprawdzeń i nadziei?..

Dziś niczego nie żądam, nie pragnę niczego.
Wygnaniec, potępieniec, tułacz pośród swoich...
Tyś jeden dla upiora pozostał kolego!

(uderza laską w ziemię i uśmierzając wzrastające obłąkanie)

Jeden—okropne słowo!...

(do Księdza)

Nie potępiaj moich
Skarg przynajmniéj,nie zdradzaj dumy méj przed światem,
Ni przed niebem, przed ziemią, ni przed bliźnim—bratem.
Łez nie czekaj—już dawno—w dzieciństwie—zamłodu
Wypłakałem już wszystkie...

(wpada w zamyślenie i laską pisze po ziemi)

Ksiądz (do siebie)

Biedny obłąkany!
Lecz kto on? zkąd przyszedł? z jakiego powodu?
Co z nim począć!...

(trącając Gustawa)

Co robisz? słuchaj mój kochany!

Gustaw.

(w roztargnieniu jakby ze snu zbudzony)

Chciałem coś pisać... marzyć... lecz suche marzenie
Jąka myśl jakąś dziką; tak dziką, dziwaczną,

Niepojętą dla mowy,—że ledwo się zaczną
Tłoczyć myśli, natchnienia, wnet uczuwam drżenie—
Jak drży ziemia gdy siłą podziemnych wulkanów
Wzdyma piersi olbrzymie i z połkniętéj rzeki,
Siłą prądu dobytéj z źródła oceanów,
Po burzliwéj podróży w kraj obcy, daleki—
Zużyta, w obce części wsiękła i wcielona,
Ledwo się mała strużka wraca do jéj łona...

Próżno dumny stenograf chciałby sprostać słowu—
Próżno chcieć myśli przelać w słowa.—Łatwiéj wcielić
Duch muzyki w twórczy poemat i znowu
Rozbić go na oddźwięki i znowu zestrzelić
Rozpierzchłe cienia w spójną całość ideału—
Niż odgadnąć duch myśli, zbadać duch wyrazu,
Zebrać szkice rzucone w widowni obrazu,
W którym wrząca namiętność młodzieńczego szału,
Jak świt w odblasku gwiazdek odbija się snadnie,
A nikt zakutéj w słowa nie pojmie, nie zgadnie...

Gdy kochankom swawolny wiatr westchnienia kradnie,
Wśród miluchnych przeprosin, albo milszych swarów—
Słowa ich topi iskra z ust płonących żarów,

I twarz błyska pogodą choć na chwilkę zbladnie—
A pieśni—ton nie wróci... oderwana w treści,
Ledwo w słabym odłamie z pod pióra wypadnie,
Wnet obcy Bard co uczuć pieśni nie podziela,
Obojętnie wesele śpiewa w ton boleści,
Lub boleść wyśpiewuje tonami wesela...

Ksiądz.

Synu mój! jakże dawno płaczesz twojéj straty?
Jak dawno Bóg cię dotknął?

Gustaw.

Przed niewielą laty.

Przed laty, kiedy w szczęście i młodość bogaty
Piłem miłość i roskosz,—któżby w owéj chwili
Mógł pomyśléć że czara do dna się przechyli,
Że w niéj gorycz, trucizna spoczywają na dnie,—
Z których skoro kropelka tylko w duszę wpadnie,
Już się cała wulkanem piekielnym zapala?—
Ktożby wówczas pomyślał że burza, co zdala
Groziła młodéj piersi, tak szybko nadleci,
Przywoła złych żywiołów powaśnione dzieci
I w samo jądro życia ugodzi piorunem?—
Któżby mógł się domyślać że pod tym całunem

Dum smutnych, co nieznane czasem bez przyczyny
Owiewały dni szczęścia, wesela godziny,
Kryją się świeże trupy marzeń i nadziei.?
Któż myśli w chwili szczęścia że wkrótce z kolei
Nastanie chwila straszna ciężkiego przesytu,
Któren wszystko zamieni w niesmak swego bytu,
Obrzydzi świat i ludzi i—samego siebie!!

Szczęśliwy! kto wiek przeżył w swojém własnem niebie;
Kogo los zły w podróży żywota nie złupił
Ze skarbów życia, jakie w dniach młodości skupił
W krwawych łzach, w krwawym znoju nie ceniąc swéj
pracy,
Za większą cząstkę życia, nie czując téj płacy...

Ksiądz.

Przestań tęsknić, narzekać...

Gustaw (spokojnie)

Ja wcale nie tesknię.

Ksiądz.

Czemuż myśl twa w grobowe ulatuje światy
Kiedy ci młodość kwitnie, kiedy świat tak pięknie
Uśmiecha się, tak nęci, tak pięknemi szaty
(wpatrując się w Gustawa, aby przeniknąć jakie wyrazy te zrobią wrażenie)

Obwiewa...

G u s t a w (ciągnąc dalej)

W koło nagi kościotrup żywota.

K s i ą d z (zmieniając sposób mowy).

A gdzież męztwo, wytrwałość, chrześcijańska cnota?
Jesteś-li chrześcijaninem? znasz-li prawdy wiary
Odwieczne, objawione...

G u s t a w (z zapałem).

O wiaro! religio! silne twe ramiona!
Twe ogniwa zapadły w przedwieczne wyroki,
Okoliły tron bóstwa że go nie docieka
Słaby rozum człowieka!..
One wyszły z tajemnic górnego Syona,
Wdrożyły się we wnętrza człowieka i we śnie
Czującéj duszy wsiąkły w niezgłębione cieśnie,
Otworzyły i szczęścia i nieszczęść potoki,
Okoliły świat szeroki
I wpiły się napowrót do tajemnic łona...

K s i ą d z.

Tak—tak—wiara, religja—raj nam obiecany.

Bo cóż dla człeka choćby cały świat posiadał,
Jeśli wiary w nim nie ma?...

G u s t a w.

A ten kto skazany
Na to by błądził i daremnie badał?
Na wieczną walkę z uczuciami swemi,
Wiecznie się miota, trwoży się i boi—
Ten polem zwycięztw czyliż sam owładnie—
Gdy w drodze życia burza nań napadnie,
I jadem słodkim, ziemskiemi ponęty
Przytłumi, zgasi ogień wiary świętej?!

K s i ą d z.

I na to dał nam środek lekarz nasz niebieski.
Dość gorącej modlitwy, dosyć jednej łezki,
A Pan duszę umocni i pokrzepi ciało.

G u s t a w.

A jeśli w kim ni jednej łezki nie zostało,—
Kto się modlić nie może—cóż mu paciérz nada?
Chyba—by skarżyć Bogu?

K s i ą d z.

O biada mu! biada!

(zwracając się do Gustawa)

Gdy cię złe losy gonią, gdy cię smutek dręczy,
W czémżebyś inném szukał pociechy, osłody?—
Gdy duszę splączą szały, gdy zapał młodzieńczy
Z sobą, z naturą, z Bogiem zrywa węzły zgody;
Modlitwa jak pośrednik wśród nieba i ziemi
Przystudza w niemej mowie złe chęci, złe myśli;
Przez nią stworzenie z Stwórcą kojarzy się ściśléj;
Ona w wzniesieniu ducha wyrazy niememi
Mówi do duszy, serca, do uczuć grzesznika,
Których wprzód nie pojmował i których nie dzielił,
Nim chłód zimnéj rozwagi w namiętność się wcielił,
Co go trwogą, bojaźnią i żalem przenika...

(powolnie)

Jest żal—jest pewna skrucha co bez łez pociechy
Zatruwa dni goryczą—dla tych chwil strapienia
W wzniosłéj nawet modlitwie nie ma już ulżenia...

(wpatrując się w Gustawa)

Jest to za grzech pokuta...

Gustaw.

Jakież moje grzechy?
Mnie grzechem było życie—jam nie znał pociechy—

Dni przeszły w bólach... w mękach...

K s i ą d z.

Człek w żywocie matki
Już wziął udział przestępstwa i grzechu zadatki;
Ztąd-to każdy czyn jego, nieodłączny z życiem,
Śmiertelnego istnienia, jest grzechu odbiciem...
Nieszczęsny kto snem grzechu zasypia w mogile—
Tam—gdzie tyle już poszło, dokąd idzie tyle—

G u s t a w.

A któż szczęśliwszy tutaj, w żyjących mogile?

Nieszczęsny czyje życie w niepewności tleje;
Nieszczęśliwszy kim miota złych losów igrzysko;
Lecz ten kto swojem życiem trwoży świat, nadzieje,
Nieszczęśliwszy nad samo nieszczęścia nazwisko.
Piekielne płomię w oku, w ustach jad trucizny,
Arszenikiem namiętna pierś tak silnie bucha,
Że gdyby nie chłód starej człowieka ojczyzny,
Stopiłby całe niebo piekłem swego ducha....
Życie dawno mu śmierci skryło się wieczorem,
A gdy błyśnie myśl młoda, wnet w przeszłości łonie
Budzi się piekło, pamięć strzela mu upiorem...
Taki upiór za życia potępieńcem płonie,

I nim kiedyś strwożona przyszłość go osądzi,
Myśl w cmentarzach przeszłości wieki wieków błądzi,
I w dzikiéj, cichéj ustroni
Echo pieśń przekleństwa roni.

(zwracając się do Księdza)

Cóż może być sroższego jak taka katusza?

Ksiądz.

Prawda, ból to dotkliwy, ciężka cierpień rana.
Lecz wszystkie męki świata, jakiemi zastrasza,
Niczem, jako naucza kościół, matka nasza,
Przeciw mąk jakie cierpi potępiona dusza,
Wyzuta z łaski światła, w moc czarta oddana.

Gustaw.

O! tyś pewno nie cierpiał;—kiedyż sługa boski,
Sługa ołtarza ziemskie znał nieszczęścia—troski?
Oddany powinnościom swego tylko stanu,
On nigdy za kres wiedzy jego nie przekracza;
Karą straszy, nagrodą nęci sług ku Panu,
Jak gdyby lud prócz niego był dzieckiem tułacza...
Nie umiejąc pobłażać, ni wybaczać bratu,
W słowach zbawienia zgubę on zwiastuje światu!

Wy! bez uczuć, bez duszy, błędne ćmy bez życia!

Co lecicie do światła, a nie czując siły,
Ani ciepła promieni, które was zwabiły,
Na powrót—do mrocznego wracacie ukrycia,
Nie znacie jeszcze światła.—Wy zaledwo wiecie,
Zaledwo iskra bóstwa o tém wam powiada,
Że jest światło, lecz gdzie jest i na którym świecie,
Tego, myśl mgłą ścieśniona nie sięga—nie bada—
Jak konchy, przebudzone promieniami słońca,
Choć czujecie że piersi i wnętrza żar pali—
Ale gdy słońce zgaśnie znowu chłód zostaje,
I więzi po dawnemu myśl mroźną powłoką.
Jak podróżni, bez celu z początku do konca
Świat przebiegłszy, wołacie wszystkośmy zbadali:
A pamięć ledwo budzi odwiedzone kraje—
Bo duszy nie zajęły choć bawiły oko,
Bo tamtego nie pojęli,
A tego pojąć nie chcieli.

Ksiądz.

Żal mi cię młody człeku—twego zaślepienia—
Żal mi twoich lat młodych i bolów sumienia—
Sumienia tak młodego, w którém grzechy stare
Snem nigdy niezbudzonym śpią do owéj chwili,

Aż wyrok ostateczny za grzech i niewiarę
Wyrzecze sprawiedliwość, a litość uchyli...

(podchodząc do Gustawa)

Czyliż ci na myśl zgon twój nigdy nie przychodzi,
I że kiedyś w obliczu i niebios i ludzi
Muszą zdać z spraw rachunek i starzy i młodzi...
Czyż pierś zdolna do wzruszeń nigdy nie obudzi
Natchnienia do spowiedzi—pokuty—poprawy?—

Gustaw.

Nie ludziom małym, słabym sądzić ludzkie sprawy.
Śmierci ja się nie lękam—żyłem tak nie wiele
I umarłem dla świata jakbym nie żył wcale—
W pamięci pozostały bóle, męki, żale—
A spowiedź... cha, cha... (śmieje się—potém zwolna—z żalem)
Żyję między grobami—i ciche ustronie
Gdzie mieszka żal, płacz, smutek a nigdy wesele,
Kędy święte milczenie panuje do koła,
Zkąd śmiertelnéj żałoby roskosz nie odwoła,
Tam dom mój—tam spoczynek; sen—w mogiły łonie.
A spowiedź... cha, cha... (śmieje się)
Niebu, wiatrom, lasom, fali
Jam się dotąd spowiadał z uczuć mojéj duszy,

Z cierpień serca, z gorączki jaka pierś mą pali.
Lecz gdzież powiernik taki co bólem się wzruszy
I boleść współuczuje?—Współczucia oznaki
Nie są jeszcze współczuciem—Gdzież spowiednik taki,
Gdzież jest taki powiernik?

(po krótkiém zamyśleniu—z żalem)

Ona tylko, ona,
Zawsze tak czuła, zawsze tak wzruszona—
Ah! ona nie z tego świata!

(zapytując się)

Lecz dokąd znika, ulata?
Jak wiatr, jak błyskawica
Nadzieje młode roztrąca—
I gdy pierś namiętna, wrząca
Unosi się i zachwyca,—
Ona niema i milcząca
Niemém spójrzeniem poziera,
Żywość z oczu jéj ucieka,
Uśmiech w ustach jéj umiera—
Tak obojętnie—zdaleka—
Niedostępna dla nadziei—

To znów uśmiech jaszczurki
Drobne usteczka jéj klei,

Znowu zpod łzawéj chmurki
Rozkwita rumieniec w skroni,
Piosnka westchnień w piersi dzwoni,
Łowi okiem i zabija—
I jakby za karę grzechu,
Jedną oznaką uśmiechu,
Jedwabném słówkiem, skinieniem,
Jedném kuszącém spójrzeniem,
Jadowita, chciwa źmija
Mściwą szyją pierś obwija,
Przepaścią przepaść pochwyca,
Ostatnie gubi nadzieje
I—znika—
Jak cień promyka,
Jak wiatr, jak błyskawica—
W tym wirze jak w pajęczynie
Człek się gmatwa, plącze, chwieje
I ginie— —

(po chwili zwracając się do księdza spokojniéj)

Współczucia oznaki
Nie są jeszcze współczuciem—a ten pośpiech skory,
Z jakim przed tron pokuty biegną gminu żaki,
Czémże jest?...

(nagle podchodząc do księdza)

Słuchaj—jutro będą dwa pogrzeby.
Widzisz—patrzaj—jam wesół—nigdym nie był chory—
Lecz przyszła ma godzina i nie ma potrzeby
Czekać aż jéj ostatnia sekunda wydzwoni;
Zbyt długie męki życia...

(wskazując ręką)

Słuchaj, tam—w ustroni
Jest świeża, nie zajęta kobiéty mogiła.
Tam, z przeciwległéj strony, za murem cmentarza,
Na spadzistości wzgórza, gdzie brzoza pochyła,
Leży kamień i rychłém spadnięciem zagraża.
Tam pod brzozą mój wieczny grobowiec, mogiła...
Słyszysz—tam mój grobowiec—pomnij miejsce sobie—
Wyłączony z cmentarza samobójstwa zbrodzień,
Zdaleka nań spoglądać i o lubym grobie
W bliskości marzyć będzie... za życia niegodzien
Pieścić się lubém łonem, przynajmniéj po zgonie
Niech nas cieniem otoczy to samo ustronie...

Ksiądz (zmięszany)

Młodzieńcze! Pan Bóg z tobą—co to wszystko znaczy?

Gustaw.

Trudnéj zagadki życia nikt nie wytłómaczy—
Zbyt ciężkie jego męki—lecz to je ukróci...

(pokazuje pistolet — ksiądz cofa się przerażony — Gustaw z uśmiechem chowając pistolet).

Ha! ty lękasz się śmierci, sądu, piekła, męki...
Uspokój się—niech widok broni cię nie smuci,
Ni trwoży—nadtoś słaby byś mógł z własnéj ręki
Poświęcić lube życie jakiéj bądź ofierze—
Pójdź— (ciągnie Księdza ku kaplicy)

Ksiądz.

Dokąd?—nie mam czasu—mam jeszcze pacierze.—
Za cudzą zbrodnię — Bóg świadkiem — nie chcę odpowiadać—

Gustaw.

Pójdź—wszak byłeś ciekawym dziejów mojéj męki,
Mego życia.... wszak chciałeś z grzechów mię spowiadać...
Pójdź... spowiadaj...

(wchodzą obaj do kaplicy)

CZĘŚĆ TRZECIA.

KSIĄDZ—GUSTAW—LUD—OBŁĄKANA.

(Cmentarz—słychać zdala śpiewy żałobne—przybywają mężczyźni, kobiety—na przodzie z chorągwiami, pochodniami i świecami—niosą różne naczynia z jadłem i napojami—między ludem słychać szeptanie pacierzy).

Głos jednego z ludu.

W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego

Lud (powtarzając)

Amen.

Głos.

Wszelki, wszelki duch Pana Boga chwali!
Zmarłe duszeczki! co was czyściec pali,
Może z was która potrzebuje czego.
Jeśli modlitwy swych niegodnych braci,
Żony, męża lub ojca, dziecka albo wnuka,

Komu myśl o was droga i dotkliwa strata—
Niechaj wam sprawiedliwość rychléj Bóg wypłaci;
Niech miłosierdzie i litość bez miary
Zastąpią miejsce cięźkich mąk czyscowych kary!
Jeśli z was która łaknie lub pragnie ze znoju,
Macie tu poddostatkiem jadła i napoju—
Kaszy, mąki i miodu i ziaren pszenicy;
Co tylko gospodarski daje nam dobytek
Z pól, trzód, domów, ogrodów wszystkiego *troszeczki...*
Oby Bóg wszechmogący z łask swoich krynicy
Zlał na was zlitowanie i dla dusz poźytek!!

(rozrzuca w koło po mogiłach ziarna pszenicy—przyniesione jadło i napoje rozstawia lud po grobach).

(zwracając się do ludu)

A teraz się pomodlim za zmarłe duszeczki!

(klękają wszyscy i śpiewają)

Anioł Pański zwiastował...

(Drzwi kaplicy otwierają się z trzaskiem—widać katafalk—w koło płonące świece—w dali Ksiądz i Gustaw — lud przerażony ucina śpiewanie — po chwili, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, ciągnie dalćj modlitwę.—)

Wieczne odpocznienie
Racz im dać panie; światłość wiekuista
Niechaj im swieci na wiek wieków, Amen.

(Wieko trumny na katafalku podnosi się—spada—nieboszczka wstaje—zstępuje z katafalka—obłąkana—nieprzytomna—postępuje naprzód cmentarza—Ksiądz cofa się—lud w przerażeniu).

Obłąkana.

Cyt... cyt... ten śpiew mię rani...
Źle mnie—źle mnie—o Boże!
Gdyby to dla mnie—a może
On nucąc wyrzekł: „to dla niéj.“

(z uśmiechem)

To dla niéj—oh! o nadzieje!
Smutek, żałość mija, ginie.
Rychłoż, rychłoż w złéj godzinie
Błoga przyszłość zajaśnieje?

(patrzy w koło obłąkana)

Ah jak swobodna myśl wrząca!

(z mocą)

Czuję roskosz, czuję życie...

(chwyta się za piersi)

O tu, tu we mnie skrycie—
Ah! jak wre tam pierś paląca.
A tu we mnie—mieszka zima.

(drży)

Jak mnie zimno!—lecz śnieg tonie,
Pierś się wzdyma, a tu—w łonie
Duszy, duszy nie ma.

(śmieje się)

Cha, cha...

(spokojniej)

mój luby, jedyny!
I w życiu i po zgonie
Równie dla cię serce płonie—
A ty się śmiejesz z dziewczyny

(z politowaniem)

A może płaczesz?...

(spokojniej)

Mój drogi!
Weź pokoju z mojej duszy;
Wszak już tego nic nie wzruszy,
Kto śmiertelne przeszedł progi.

(Zwraca się na wszystkie strony powolnie—potem ku stronie gdzie ksiądz, który postrzegłszy to cofa się do ludu, a obłąkana odchodzi w głąb i znika w oddaleniu).

Głos jednego z ludu do starca.

Starcze! już tobie wiek pobielił brodę,
Tyś przywykł duchem mieszkać tam—wysoko,

Gdzie nasze słabe nie dolata oko,
Tam wzrok twój wprawny na planet obroty,
Na drogi światów, na gwiazd kołowroty,
Czyta w nich przyszłość, burzę i pogody
I tajemnice przedwiecznéj przyrody
Nigdy prostemu niedostępne człeku...
Do ciebie bieży i stary i młody;
Ty wszystkim radzisz bez różnicy wieku;
Mów, powiadaj nam teraz co to wszystko znaczy?
Wytłómacz nam prostakom, odkryj tajemnicę:
Umarła jest zapewne upiorem, a raczéj
Musiała nim być wprzódy. Podobną dziewicę,
Czy kobietę widziałem nie pomnę gdzie, kiedy,
I przed jak wielą laty. Długo była znaną
Całéj téj okolicy, a wszyscy już wtedy
Zwali ją nieszczęśliwą, *biedną obłąkaną...*
Potém jak w wodę wpadła i biedną kobietę
Zapomnieli—a teraz...

Starzec.

Natury tajniki
Przed słabym okiem człeka na wieki zakryte.
Mądrość świata—to błędów człowieka pomniki.
Choć w przeczuciach skamieniała

Spadła domysłów powleka,
I przeszłość dawna, daleka,
W łonie czasu zmartwychwstała...
Choć człek piędzią śmiertelnika
Przemierzył świat ten szeroki;
Do biegunów z-pod-równika
Zmierzył ziemię swemi kroki...
Choć boskich świateł docieka
Na szklannych skrzydłach źrenicą...
Chociaż w głąb ziemi ucieka,
Wody zakreśla granicą,
W górne krainy wylata,
Naznacza kierunek świata;
Mierzy się z górną dzielnicą...
Jednak mądrości zapędy,
Kryją domniemań obłędy...
Bo on sam jest tajemnicą!

Głos z ludu.

Patrzcie, patrzcie o—tam, tam między drzewami,
Po grobach i pomnikach, po szczycie kaplicy
Wiesza się jakieś widmo jakby duch martwicy...

L u d.

Aa! (zwracają się wszyscy ku kaplicy, nad którą spuszcza się cień kobiéty).

S t a r z e c.

Boże bądź miłościw! zmiłuj się nad nami!
(zwracając się do ludu)
Przed wielą, wielą laty widziałem podobny
Cud w wioseczce sąsiedniéj na jednym młodzianie.
Wówczas dziadek nam prawił: że w wieczór żałobny
Dni zadusznych powszechne dusz jest zmartwychwstanie;
Które wziąwszy rozliczne postacie na siebie,
W sto lat nawet po zgonie, w sto lat po pogrzebie
Ukazują się światu i jak ognik giną;
Że prawo zmartwychwstania równie wszystkim służy,
Ci nawet których zwłoki jeszcze są w podróży
Do mogiły, odwiecznych praw tych nie ominą.
W chwili dusz zmartwychwstania muszą się ocucić,
Nie spocząwszy w mogile muszą trumnę rzucić,
I chwilkę jeszcze dźwigać ciężkie brzemię ciała,
Aż wezwie do powrotu Moc co ich wyzwała.

C i e ń.

(obiegając w koło kaplicę, katafalk i wychodząc na cmentarz)

„Ja będę twój"... tak mówił do mnie,

Mówił—pamiętam—łzę uronił
I odszedł—odszedł nieprzytomnie—

(przysłuchuje się)

Jakiż to odgłos—jakie to pieśni?
A on mnie szepce do ucha—
Coś szepce, (przysłuchuje się) czy mi się nie śni?
Ale—ja niema i głucha.
Lecz nie—to on, jego dłonie!
Jaki żar we źrenicy,
Jakim ogniem płoną skronie!

(bieży do katafalka)

Ah, ah!—to promień od świecy!

(wołając)

Pójdź do mnie—nie—nie—uciekaj,
Ty mnie zabijasz oddechem—
Kogo tu witasz uśmiechem?
Aha zwodniku! poczekaj!
Pójdę téj gwiazdki promieniem—
Pójdę... (wznosi się w powietrze na szczyt kaplicy)
Gdzież on? zginął w tłumie—
Ot stoi—skinął wejrzeniem—
Któż go zgadnie? kto zrozumie?...

(drży, idzie na sam brzeg szczytu)

Niestety—zginęłam—Boże!
Jak strasznie błyska, grom bije—
O luby! luby! ty może....

(spadając z wieży)

Ah! on nie żyje!!

(Świece na katafalku gasną—ciemność wokoło—szumią drzewa—wiatr się wzmaga — błyskawica — w głębi kaplicy słychać wystrzał pistoletu).

Lud (strwożony pada na kolana)

Aa!...

KURYŁY

LEGENDA

(Z PODAŃ LUDU).



Imp. Lemercier, Paris

„Wyskoczył na brzeg, wiosło na ramię zarzucił, poszedł wybrzeżem,“ (str. 152).

Jak tu roskosznie! zefir łagodny
Lekko wzrusza wód kryształy,
Wyszedł z-za-chmury księżyc pogodny
I świetne gwiazdy roztlały.

Na tle błękitném bladych promieni,
Jakaż pogoda rozlana,
I jak roskosznie muska się, pieni
Staw u podnóża kurhana!

Wybrzeżem płynie, poziera w koło
Na kurhan, to na zarośle,
Rybak—król wody, nuci wesoło
I dłoń powiesił na wiosle.

A kiedy z lekka wiosłem poruszy,
Czółno mu dalej ucieka,
Jak pchnięta szczęściem ucieka z duszy
Boleść przeszła i daleka.

„Powiédz mi chłopcze, chłopcze mój młody!
Tam kędy trzciną i trawą
Gęściéj zarosły rzeczułki wody,
Co to bieleje na prawo?“

—„Tam widać miasto, a z tamtéj strony,
Gdzie rzeczka toczy swe strugi,
Znać gruzy zamku królowéj Bony,
Choć dzieje zatarł czas długi.“

„Powiédz-że chłopcze, chłopcze mój młody,
Czy znasz ty ludu powieście
O dziejach, śpiących w nurtach téj wody,
I o zamku i o mieście?“

—„Jako te nurty krętéj głębiny,
Co je wir stawu pochwyca,
Znane mi wkoło wzgórza, doliny,
Znana cała okolica.

Ale co dziejów, *tego nie powiem* (1),
Miasto zaś sławne w swym czasie
Zamkiem, a wody—chyba sitowiem
Jakich dużo ma Podlasie.

Pusta i dzika wkoło kraina,
Jakby porzutek przyrody,
Na łanach krzemień, w lasach jedlina,
Rzeki, sadzawki bez wody.

Nie raz zapadłe w ziemię zwaliska,
Pomimo starców przestrogi,
Te niby groby—długie pastwiska,
Deptałem w północ bez trwogi.

Jak długa przestrzeń z *Jeleniéj góry* (2),
Przez *Straż* aż do *Lipiny*,
Gdzie leży puszczy ostęp ponury,
Sokołda toczy nurt siny—

I daléj wkoło, aż ku granicy
Którą my Litwą zowiemy (3)—
Tak zwą ją zwykle nasi strażnicy,
Choć czy to słusznie nie wiemy—

Ku tej granicy i znów w krąg miasta,
Z pod *Kundzina* ku *Kuźnicy* (4),
Aż kędy ścieżka wrzosem porasta
Od *Pawłowickiéj* dzielnicy—

I dalej, dalej pod *Nowowolę* (5)
Aż gdzie ostępy i głusze,
Przez *Kozi-przeskok*, *Fedkowe-pole*,
Przez *Kumiałkę*, pod *Bohusze*.

Wszystkie te lasy, jak widzisz w koło,
Wymierzyłem memi kroki,
Tu zwierzom śmiałe stawiłem czoło,
Przechodziłem w bród potoki;

Tu błądzącego w cichy wieczorek
Witały mię koło ranka,
Ossowy-kołek, *Kosmaty-Borek*,
Smolanka i Rozedranka.

Lecz w tych przechadzkach nigdy wędrowca
Nie spotkało żadne licho;
Zarośle, groby, ścieżki, manowca,
Wiecznie śpią głucho i cicho.

Raz tylko pomnę *Fedkowe-pole*
Jakiś czad z siebie zionęło.
Idę—w tém światło błysło w półkole,
Zagrzmiało—hrym! i—zginęło.

Mrowię mię przeszło, ale świéć Panie
Duszom *Fedki* i *Misiuty*,
Oni przy trzosach śpią tam w kurhanie
Bez spowiedzi, bez pokuty.

Jak nieużyci nigdy, nikomu,
Z pieniędzmi przeżyli w nędzy,
Tak i śpią nędznie w wieczności domu
Przykuci do swych pieniędzy.

Biada kto w północ tknie ich grobowiec,
Lub do jodeł ściągnie dłonie,
Bo w oka mgnieniu cały manowiec
Zapach siarczysty owionie;

I gore światło i wstają duchy
I widne piekieł płomienia,
I skrzeczą żaby, brzęczą łańcuchy,
Śmiałek się w kruszec zamienia.

Lecz któż nie świadom strasznéj ustroni,
I kto od niéj nie ucieka?
Nawet mój *Brylant* co wiatry goni
Wyje, wietrząc ją zdaleka!“—

Tu się zatrzymał, w pobożnéj trwodze,
Zrobił na piersi znak krzyża,
I rzekł:—„Przy miejskiéj, rozstajnéj drodze,
Która w zarośle się zniża,

Trzy na mogiłach groby się świécą—
Tam śpią wiecznie trzéj mołojcy—
Przy nich śpi wielu—za ich granicą
Bieleje grób samobójcy (6).

Rzuciwszy, mówią, marności świata,
Roskosze swawolnéj tłuszczy,
Święcie na pozór pędził swe lata,
Jako pustelnik na puszczy.

Lecz nigdy radą nie wsparł on brata,
Choć wiódł życie pustelnicze,
Jakby mieszkaniec innego świata,
Przed człekiem krył swe oblicze.

Aż po dniach wielu cierpień, męczarni
Smutne życie jego zgasło—
Grabarz, co mieszkał w blizkiéj *piekarni*,
Słyszał strasznéj śmierci hasło.

W samą się północ rozległ strzał broni,
Wstrzęsły się mogił posady,
Dom pustelnika w znanéj ustroni
Wskróś otoczył płomyk blady.

Widział to grabarz, słyszał szum głuchy
I śpiew sowy, śpiew puszczyka,
I jak w noc późną wiedli złe duchy
Spór o ciało nieboszczyka.

Bo dusza zaraz była w ich mocy—
Ciała wyższa siła strzegła—
Po długich sporach, gdy po północy
Zgraja duchów się rozbiegła,

Trup samobójcy w własnéj krwi się broczył;
Drzwi, okna stały otworem,
Szatan mu na twarz dziwną krasę wtłoczył,
Ale wzrok błyszczał upiorem.

Na ustach ledwo w pół-zmarłe jęki,
W pół-zgasłe na licach troski,
W ręku obrazek trzymał maleńki
Cudownéj Matki Boskiéj.—

Tak, lubo duszę w piekło uronił,
Sam runął w mąk wiecznych stoku,
Do ciała jednak przystępu wzbronił
Obrazek z Różanostoku (8).

Jak zasnął w grzechach, tak bez pogrzebu
Za cmentarzem w grób rzucony,
Na miejscu, kędy ohydny niebu
Stał dom jego opuszczony.

W rocznicę zgonu, co rok śród parowu
Samobójca życiem władał,
Wstawał, ponawiał grzech swój i znowu
Z trzaskiem w głąb grobu zapadał.

Aż po dniach wielu, po latach wielu,
Przy bladym blasku księżyca,
Idąc bez drogi, błądząc bez celu
Przyszła tu jakaś dziewica.

Snać była jego siostra, kochanka...
Lecz skoro na próg stąpiła,
Straszna *Kraśniańska* błysła *małanka* (9)
I dom w popiół zamieniła.

Dziś zapomniano już to zdarzenie
Liczone niegdyś do cudu,
Tylko *małanki* strasznej wspomnienie
Zostało w przekleństwach ludu.

Tak dom nędznika i pałac miasta
Jednaka spotkała dola,
Ich miejsca zżółkła trawa porasta
I zmienia w uprawne pola,

A gdzie sadzawki, strugi, kanały
Bawiły wdzięcznym widokiem,
Ledwo ich dzisiaj ślady zostały
Nad nędznym wód letnich stokiem.

W rozlicznych wzgórkach tam po za błonie
Wskazują Szwedów mogiły,
A staw i lube wkoło ustronie
Z dawnych dawien zwą: „*Kuryły*."—

Tak skończył rybak—i tuż przy tamie
Ukrył czółenko z więcierzem,
Wyskoczył na brzeg—wiosło przez ramię
Zarzucił—poszedł wybrzeżem—

I znikł w zaroślach.—Wśród nocnych cieni
Jakaż pogoda rozlana,
I jak roskosznie wzdyma się, pieni
Staw u podnóża kurhana!

Płynie *Sokołda* spokojna w biegu
Niosąc pamiątek ostatki,
I wciąż od brzegu błądząc do brzegu
Srebrną falą muska kwiatki.

OBJAŚNIENIA.

Kuryły, staw z młynem i kilkoma wiejskiemi domkami w bliskości miasta Sokółki, na prawo boku drogi z Białegostoku do Grodna. Sokółka zabudowana od polskich i ruskich czasów; mieścina z pięknym [illegible] rynkiem, przedstawiającym foremny czworokąt, należała niegdyś do powiatu dąbrowskiego, później stała się samo stolicą powiatu w byłym obwodzie Białostockim, a obecnie wcielona do gubernii Grodzieńskiej.

Kuryły, staw z młynem i kilkoma wiejskiemi domkami w blizkości miasta Sokółki, na prawo bitéj drogi z Białegostoku do Grodna. Sokółka zabudowana od polskich i pruskich czasów; mieścina z pięknym zresztą rynkiem, przedstawiającym foremny czworokąt, należała niegdyś do powiatu Dąbrowskiego, poźniéj stała się sama stolicą powiatu w byłym obwodzie Białostockim, a obecnie wcielona do gubernii Grodzieńskiéj.

Kulturą swoją i wzrostem gospodarki, sięga czasów sławnego administratora wiejskiego Tyzenhauzena, któren za rządu pruskiego z wielką znajomością urządzał skarbowe dobra, zakładał fabryki i rękodzielnie. Jemu to szczególniej przypisują zaprowadzenie fabryki fajansów i t. p.— Okolice miasta nie mają nic szczególnego. Przeciwnie—należą one do tych miejsc ubogich, którym przyrodzenie uchyla swych darów i opiekuje się niemi jak macocha. Przed wielą laty, otwartą wkoło okolicę, przerzniętą tu i owdzie wzgórzami, po większéj części z piasku i kamieni, zalegał las nieprzebyty. Wzgórza i doliny nie mają tu czarownego widoku, właściwego tak zwanéj *pozycyi szwajcarskiéj*, lecz za to puste i dzikie, niezdolne do obudzenia natchnień ku uwielbieniu cudów natury, nie są jednakże bez powabu. Nie są to ustronia, w których dusza na-

pawa się rozrzewnieniem i uczuwa niepojętą słodycz smutnych dum, lub wesołych dziwactw przyrody. Nie. Nagie, ubogie, bez barwy i ponęty widoki, w ubóstwie swojém nabyły dziwnéj powagi i ceny, różnéj zupełnie od tamtych — one się podobają w swojém dzikiém i nużącém położeniu. Tu zmordowany wędrowiec przebiegając błędnym krokiem pola, łany, góry i wzgórza, nie spotyka gdzieby chciwy wzrok jego odpoczął, a tak wlokąc go ze znużeniem po ziemi, mimowolnie ucieka wyżéj, wyżéj nad siebie.— Gdzie indziéj dumka samotnika szuka oddźwięku w łąkach, falach, gajach i dąbrowach. Tu pieśń duszy odbija się o krzemieniste wzgórza, echem głuchém i dzikiém; a ta dzikość, ten niedostatek wrażeń—zdolne do wyższych natchnień. Nie braknie jednakże i na pięknych widokach, chociaż ukrytych na piérwszy rzut oka. Na szcze-

gólniejszą zasługują uwagę: 1. Kuryły; 2. wzgórze, gdzie pobudowany lazaret wojskowy, znane jako gruzy zamku królowej Bony, i 3. cmentarz z okolicami. Miła, zbyt miła ustroń w Kuryłach nie może nie znęcić przechodnia.—Od bitéj drogi kurhan, jak przedmurze, zasłania ją przed wzrokiem podróżującego traktem, chociaż wody stawu błyszczą zdaleka, i szum młyna wodnego słychać w oddaleniu. Spuszczając się z kurhanu nad brzegi sinych, w części trawą zarosłych powierzchni stawu, odsłania się oku poważny krajobraz. Naprzeciw kurhanu, za drugim brzegiem wody, ciągnie się gdzie niegdzie wzdęta pagórkami płaszczyzna; a młyn wodny, za nim kilka rozrzuconych wiejskich chatek, a za nimi uprawne ogrody i łany; potém znowu całe wsie i dwory, wreszcie lasy—oto okolica od Kurył.—Z téjże saméj strony, to jest od Białostockiego traktu,

tylko na prawo, wznosi się wzgórze, na którym, jak wyżéj wspomniano, budowa lazaretów. Tu przed wielą laty, albo jak tradycya ludu mieć chce, przed wieki, miał być zamek królowéj Bony. Szczęśliwa miłośnica miejsc hojnie obdarzonych od przyrody, które zwykle jeszcze ozdabiała sztuką, i tu znajduje pomnik swojego istnienia. — Wiele jest miejsc, wiele ruin, które albo niesłusznie, albo z fałszywém uprzedzeniem liczą do pamiątek dobrego smaku i szczególnego zamiłowania w architekturze téj kobiety. Miejsce będące w mowie, możnaby śmiało liczyć do tego rzędu historycznych niby pamiątek; ale co bądź, ono podług podania, jest posadą, na któréj wznosił się zamek. Świadczą to kamienie i gruzy zapadłych, wydobytych w części fundamentów i zapadłości u podnóża góry, jakby ślady kanałów i sadzawek. Bez wątpienia, miejsce to

ładny ma widok. Z wierzchołka góry wzrok ucieka korytem małéj rzeczki, aż gdzie prochownia i łaźnia, i daléj ku Lipińskim lasom i niwom, najeżonym wzgórzami.—Widok ztąd mógł kiedyś nawet być zajmującym przy bijących u podnóża góry kaskadach i obszernych kanałach. Przypuszczenia te jednak zdają się być mniéj zasadne, zważywszy: że dziś w tém miejscu płynie ledwo mała strużka, niejako odnoga blizkiego Kurylskiego stawu, i że w blizkości nie ma żadnéj rzeki, a mieszkaniec ledwo ma wodę ze studni, i z tych prawie jedna, jedyna na całe miasteczko. Na przeciwległéj ztąd stronie Sokołki, ku Grodnu, leży cmentarz—daléj zarośle.—O grobie samobójcy podają umieszczoną tu powiastkę. Niektóre zaś okolice miasta i szczególniejsze miejsca Legendy wyjaśnią się niżéj.

(1) Ale co dziejów—tego nie powiem.

Wyrażenie „tego nie powiem" jak i wiele innych w niniejszéj Legendzie—czysto-ludowe. „Nie powiem" znaczy tu—nie wiem, nie mogę wiedzieć.

(2) Jelenia góra, Straż, Lipina i t. d.

Wioska należąca do majętności skarbowych, zwanych tu od czasów byłego rządu pruskiego amtami.—*Straż*, wioska także amtu Sokolskiego, na trakcie Białostockim. *Lipina*, wieś w leśnem położeniu amtu Słojkowskiego. Tu w pobliżu źródło rzeki Sokołdy, spławnej w wielu miejscach i największéj w téj prowincyi po Supraśli.

(3) I dalej w koło aż ku granicy
Którą my Litwą zowiemy.

Po za rzeką Sokołdą, od strony powiatu Wołkowyskiego, naznacza lud tutejszy granicę Litwy, nazywając siebie Podlasiakami. To utrzymuje się szczególniéj między ludem, mieszkającym w téj części powiatu między lasami, chociaż wiedzą o tém, że za czasów gdy Wasilków (8 werst od Białegostoku, na trakcie do Grodna) był granicą Prus, rzeka Supraśl stanowiła linię demarkacyjną.

(4) Kundzin.

Majętność w pięknem położeniu, dziedzictwo znakomitego w kraju rodu Ostromęckich, z których dzisiej-

szym posiadaczem jest JW. marszałek Ostromęcki. Pawłowicze, dziedzictwo Downarowiczów, obecnie pułkownika Olędzkiego.

(5) Nowowola.

Stolica amtu Nowowolskiego. *Kozi-przeskok, Fedkowe pole* uroczyska w lasach Janowskich. Do ostatniego z nich przywiązana powieść o dwóch skąpcach Fedce i Misiucie, włościanach ze wsi Kupliska, do amtu Janowskiego należącéj. Podług dawnéj tradycyi, w tych miejscach nawet woły i krowy nie jedzą trawy, a psy z wyciem omijają tę ustroń. — *Kumiałka* uroczysko leśne w piękném położeniu. *Bohusze* wieś skarbowa, jak również Ossowy-Kołek, Kosmaty-Borek, Smolanka i Rozedranka.

(6) Bieleje grób samobójcy.

Cmentarz miasta Sokołki nie zasługuje na żadną wzmiankę, i nie posiada pomników, któreby mogły zwracać szczególniejszą uwagę. Położony w piasczystym gruncie, odznacza się li piramidą z cegły wystawioną, na pamięć trzech zmarłych tu od cholery w 1830 roku officerów armii rossyjskiéj. Grób samobójcy usypany z piasku, bieleje za wałem cmentarza, i powieść o nim wzięta z podań ludu.

(7) Grabarz co mieszkał w blizkiéj piekarni.

Piekarnią zwą tutaj nędzną lepiankę tego, który nie będąc gospodarzem we włości żyje z zarobkowania, i zwie się zwykle pokątnikiem, komornikiem, bobylem.

(8) Do ciała jednak przystępu wzbronił
Obrazek z Różanostoku.

Różanystok, wieś niegdyś z klasztorem Dominikanów i kościołem, w kaplicy którego z prawéj strony wielkiego ołtarza cudowny obraz Matki Boskiéj, zwany Różanostockiéj. Dawniéj tu bywało na odpustach, szczególniéj na Zielone Świątki, przeszło do 20,000 pobożnych. Obecnie jest kościołem parafialnym, niemniéj licznie przez pobożnych odwiedzanym. Leży o 5 mil od Grodna, o półtory od miasteczka Nowegodworu i o 4 mile od powiatowego miasta Sokołki. Kościół posiada bardzo ładne organy, ma 12 kaplic, piękną ambonę główną i innych pięć kazalnic. Były tu zakon Dominikanów fundowany w roku 1660, przez Szczęsnego Tyszkiewicza stolnika Derpskiego.

(9) Straszna Kraśniańska błysła małanka
I dom w popiół zamieniła.

Kraśniany, duża wieś skarbowa, o półtory wiorsty od miasta Sokołki. Małanka, w języku ludu błyskawica,

która wiele podług przesądnych mniemań sprawia szkód, ako to: pali orzechy i t. p. Zkądby jednak miało początek używane między ludem przekleństwo: *bodajcie spaliła kraśniańska małanka*, wyśledzić nie mogłem. Podług wszelkiego podobieństwa, musiał to spowodować pożar w Kraśnianach od pioruna; tak jak np. w powiecie Bielskim jest między ludem przekleństwo: *bodajbyś spuchł jak mielnicka góra;* ale Mielnik, (stolica niegdyś ziemi Mielnickiéj) obfitując w góry, mógł natchnąć rozgniewanego Jadźwinga do wyrzucenia podobnego przekleństwa, bez wszelkich szczególnych wypadków.

WIERSZE RÓŻNE.

IMPROWIZACYA.

Myśl szczęśliwa i wesoła
Spędza smutek ze źrenicy,
Kiedy w obliczu dziewicy,
Widzę istnego anioła.

Ten w jéj licu blask rumieńca
I to oko z drobną łezką,
Jakąż roskoszą niebieską
Napełnia duszę młodzieńca!

Cóż gdy iskrą życia błyśnie
I przypadkiem, jak z niechęci,
Spójrzy, z lekka dłoń uściśnie,
Kilka drobnych słów poświęci;

Przez nieznane czary, dziwy,
Gdy westchnienie w pierś zadzwoni,
Dziewczę kilka łez uroni,
Ah! jak młodzieniec szczęśliwy.

Gdy się spotkał z jéj spójrzeniem
Dusza z więzów tego ciała,
Za jedném ustek dotknieniem
W kraje niebios uleciała.

CZTERY PORY ŻYCIA.

Życie człeka jak kwiat polny,
Wschodzi śród bogatéj niwy,
Świt dlań błyska tak szczęśliwy,
Wietrzyk pieści go swawolny
I szczęśliwie sobie rośnie
O spokojnéj wschodu *wiośnie.*

Ledwo w listki się rozwinie,
Spójrzy w koło pogardliwie,
Już mu ciasno w podłéj niwie,
Wiatr go dusi na nizinie,
Koronę dumną, bogatą
Mgło, boleśnie pali *lato.*

Skoro uczuł upał w łonie
Wnet palącą pierś odkrywa,
Do walki niebo wyzywa,

Pewny że słońce pochłonie;
Aż go przemoc zarumieni
Burzliwéj, bladéj *jesieni.*

Schodzi jesień i burzliwa
Zatrzęsła światem przyroda.
Gdzież twa kwiatku świeżość młoda?
W step się zmienia plonna niwa,
Śladów kwiatka na niéj niéma
Wszędzie chłodna, groźna *zima.*

PRZESTROGA

MŁODEMU PRZYJACIELOWI.

Szczęśliwy wiek twój, młody Wandalinie
I zawód w którym dzieciństwo ubiega.
Lecz wiedz, że wszystko odmianie ulega,
Nie wrócą lata, a gdy młodość minie
Nie jeden dumny z wyższego zawodu
Skarży w starości iż stracił za młodu.

Wkrótce porzucisz zawód naukowy.
Szczęśliwyś, jeśli pracując z ochotą,
Dowcip z natury i rozsądek zdrowy
Umiał wzbogacić nauką i cnotą;
Szczęśliwyś, jeśli w głębi twego łona
Karmisz rzucone *dobrego* nasiona.

Wychodzisz na świat—ale na tym świecie
Dwie różne drogi *nauki* i *cnoty*.

Kto poszedł pierwszą, ten w młodości kwiecie
Nie dość że wzlata w wyobraźni złotéj,
Śledzi ciekawie dzieła przyrodzenia;
Że genialnie tworzy lub odmienia,

Dla dobra nawet pracując współ-braci,
Którzy mu kiedyś skroń laurem uwieńczą;
Bo gdy z nauką i sławą młodzieńczą
Nie idzie cnota, wszystko blask swój traci;
Sława bez cnoty w potomności uszy
Lecąc zostaje jak ciało bez duszy.

Ale kto idąc po cnoty drożynie,
Przez ciernia, głogi ku niebu się wzbija,
Tego pamiątka w wieczności krainie,
W ustach potomków nigdy nie przemija;
Kto z cnotą złączył dzieła swojéj sztuki
Tego uwielbią potomności wnuki.

Przed tobą właśnie leżą te dwie drogi.
Oto siedmnasta wiosna ci zachodzi,
W czarownych wdziękach ona to przywodzi
Uśpione dotąd namiętności—wrogi,
Co w groźnéj walce namiętnosci z cnotą
Zwichną osadę skrzydeł jéj lub zgniotą.

Gdy samoluby zamknięci dla siebie
Z własnych widoków otworzą ci dłonie,
Lub płatne druhy ulgną ci na łonie,
Nie wierz, a wszystkich doświadczaj w potrzebie;
Choć tych i tamtych pochlebstwo cię zgłuszy
Jednym i drugim nie otwieraj duszy.

A najskwapliwiéj unikaj przyjaźni
Mistrzów zdań wolnych, zepsutéj młodzieży,
Co poduszczeniem, błędem wyobraźni
Na oślep w przepaść niepowrotnie bieży.
Bądź prawym, umrzéć gotowym ze sławą,
I kochaj kraj swój, szanuj święcie prawo.

Niech się twa dusza pochlebstwem nie skazi
Przed dumą możnych, ni złym czynem zbrudzi;
Pracuj z ochotą dla współbraci-ludzi,
Niech cię w téj pracy niewdzięczność nie zrazi;
Dla nędzy tylko niech się dłoń otwiera,
Serce dla druhów—skoro przyjaźń szczera.

Gdy sidła niewiast rzucone wskróś zdradnie
Gorącą młodość zwikłają w swe matnie,
Niech roskosz nigdy z myśli ci nie skradnie
Gorzkiéj pamięci na lata ostatnie,

Na lata, w których szał ten zerdzewieje
I wrzące chucie chłód z ciała wywieje.

Wcześniéj czy późniéj ocknie się sumienie.
Spieszniéj czy wolniéj zdążymy do celu.
Patrz jak u kresu stanęło już wielu;
Różnych tak różne gnało przeznaczenie!
Każden-że wstecznym zwróciwszy się stekiem
Powié że człek on i że był człowiekiem?!

Pomnij życzliwe przyjacielskie słowo;
A gdy po długiém, najdłuższém istnieniu
Przyjdzie czas płacić dług twój przyrodzeniu,
I tam zkąd szedłeś powrócić na nowo;
Poznasz że *życie jak szata wietrzeje*
I noc wprzód padnie niżli dzień zadnieje.

OBRĄCZKA.

Kto mógł pojąć rozmowę serc dwojga kochanków,
Kto talizmanem oczu goił żądz gorączkę
Do chwili odebrania z rąk kapłana wianków;
Ten wié na jaką pamięć nosimy obrączkę.

Nim swobodném smakując woli swéj użyciem
Nie przykują się stułą lube sobie dłonie,
Kochanek i kochanka już tchną jedném życiem,
Nosząc piérścień na ręku a wzajemność w łonie.

Czémże jest dla minstrela to godło przyjaźni,
Dla tego czyj się żywot w westchnieniach unosi,
Kto nadludzką kochankę pieści w wyobraźni,
Lub kochając napróżno o wzajemność prosi?!

I na mym ręku błyska dziś obrączka mała,
Lecz czyja? niech odpowié ten palec serdeczny.
Ah! *na wieczną niezabudź* Ona mi ją dała
Gdy dłoń Jéj z obcą dłonią los połączył sprzeczny.

Petersburg
25 Lipca
184...

KOLĘDA

NA ODJAZD MARYANA MELENIEWSKIEGO Z WARSZAWY.

Stokroć szczęśliwy kto w rodzinnéj stronie
Jak niegdyś jego dziad lub ojciec stary
Sprawiał w kolędę dzieciom swym ofiary.
Szczęśliwszy jeszcze kto w przyjaciół gronie
Przy sutém jadle i przy sutém stole
Czekał od zmroku aż zabłysło zorze.
Lecz najszczęśliwszy kto w rodzinném kole
Wesoł obchodził Narodzenie Boże.

Jam kraj rodzinny dawno już pożegnał,
Rodzinne święta ledwo pamięć święci,
Krewni spoczęli wiecznym snem ujęci,
Druhów po świecie sprzeczny los rozegnał;
Został żal tylko, tęsknota za niemi,
Pamięć przeszłości, śpiąca w głębi łona,
I pośród obcéj, mało znanéj ziemi,
Jeden Ty tylko, ah! i jedna—ona

Choć cię niedawno w znajomych mych gronie
Niedawno liczę w mych przyjaciół kole—

Ale twa przyjaźń najgłębiej tkwi w łonie.
Tyś brata mego niegdyś leczył bole,
Przy tobie mąk mych goiła się rana,
Balsam przyjaźni koił życia troski,
I przeciwnością dusza skołatana
W spółczuciu piła pociech nektar boski.

Dzisiaj kolęda—kędy rzucę okiem
Wszędzie szał, wrzawa, uciech płyną zdroje,
Wszystko się śmieje i biegnie z podskokiem,
A u mnie w sercu—ból i niepokoje.
Mój Marjanie! jeszcze chwil nie wiele
A Bóg wié znowu czy ujrzym się kiedy,
I czyli chwilkę rozstania się wtedy
Nagrodzą sobie serca przyjaciele?!

Stając na drodze rozstajnéj żywota,
Ile pociechy i ile wesela
Słowo *przyjaciel* ma dla przyjaciela,
Kiedy łza w oku a w duszy tęsknota—
Bądź zdrów i czasem potęsknij za nami;
A jeśli nasze *dzisiaj* już ostatnie,
Przyjm za twą przyjaźń uściśnienie bratnie—
Podarków nie mam—za łzy płacę łzami.

29 Grudnia
1849 roku.

SKON SIERÓTY.

O jakże przykro, jak ciężko chorować
Gdy ciągle sprzeczny los sierotę goni!
Ni komu tęsknić—ni komu żałować—
Nikt nad sierotą łezki nie uroni—

Gdy życie w gorzką dolę się przeleje—
By ulżyć losom, przez miłość dla świata,
Tkań tę żywota ból z nadzieją splata,
Aż późna zima duszę z ust wywieje.

Godzien zazdrości, szczęśliwy stokrotnie
Czyj zgon kochankę lub druha zasmuci.
Ostatniéj chwili nie skończy samotnie
I pamięć na grób jego kwiatek rzuci.

A z tego kwiatka wnet w bujne się kwiecie
Cały grobowiec prędziuchno rozrośnie;
Minstrel zeń uszczknie listek i po świecie
Cześć poległego opieje żałośnie.

Lecz skoro w ustach menestrela skona
Piosnka lubiona i długo i szczerze,
Zapadną prochy aż do ziemi łona
I miejsce grobu drugi gròb zabierze;

Więc może w sercu wielbionéj dziewicy
Zostaje pamięć upłynionych chwilek?
O, próżno—z dobréj niegdyś gąsienicy
Lęgnie się potém zjadliwy motylek.

Bo czem-że wszystkie na świecie kobiety?
Wnika w lat wiośnie do duszy człowieka,
Lęgnie się owad i w końcu—niestety—
Zły robak pasmo żywota przesieka.

Szczęsny! kto lubéj ust nie tknął ni razu—
On we snach, w myślach owadów nie pieści,
Wzlata i wesół w cieniach krajobrazu
Wita cień śmierci bez łez, bez boleści.

A gdy ból zwiększy dotkliwe cierpienia,
Spójrzy sierota po świecie szerokim,
Rozjaśni czoło, przytłumi westchnienia
I skona myśląc: „płakać nie ma po kim.“

1841 r.
18 Czerwca.

DUMKA BELGIJSKA.

(na nótę flamandzkiéj narodowéj pieśni).

Kiedy z odległych krańców Europy
Zwrócę na północ myśli me i oczy,
Jakaś tęsknota piersi moje tłoczy
I dusza rwie się w wyższe niebios stropy,—

Tam, tam—gdzie Kaukaz, Piotrogrodu mury,
Gdzie Niemen, Wilja, Dniepr i Wisła płyną—
Tam, tam—na północ—gdzie sosna z jedliną,
Gdzie śmiałe Tatry bodą niebios chmury.

Gdy anglik dumną, niemiec dobroduszną
Podaje rękę—flamandczyk zdradziecko
Patrzy—a francuz śmieje się jak dziecko—
Czemuż tak sercu ciężko—tęskno—duszno?—

Tam, tam—na północ—drogi kraj ojczyzny—
Tam luba łezką oddalenie koi—
Tam, tam—na północ—przyjaciele moi—
Tam myśl weselsza—lżejsze serca blizny.—

Wkoło mnie pięknie—obok piękne lice—
Oczy belgijki jak płomienne zorze—
Niebo pogodne—u stóp sine morze...
Czemuż mą duszę zalega tęsknica?

Tam, tam—na północ—kędy gwiazdka świeci,
Stokroć weselsze niebo, dziewic oczy;
Jaśniejsze wody—stokroć kraj uroczy...
Tam, tam—na północ—kędy myśl ma leci!

O morze zjawisk! śród muszel, korali,
W twém łonie polip cudów śpi głęboko,
Przeraża trwogą, lub zachwyca oko—
Czemuż nie zgasi ognia co pierś pali?

Tam, tam—na północ—kędy ciche wody
Pieszczą kwiat lilii, krzemieni kaliwa,
Z których Litwinka czerpie urodziwa—
Tam, tam—na północ—zdrój dla serc ochłody.

Kiedy się iskrzą zhukane bałwany
I *dyg* z wściekłości ostrą piersią bodą,
Lub z wstydem fale w głąb morza uwiodą—
Czemuż z nich balsam nie spłynie na rany?

Tam, tam—na północ—kędy śnieżne sploty
Bladych chmur wiszą jakby Sylfów roje...
Tam, tam—na północ—leć o serce moje,
By zgoić rany, umrzéć bez tęsknoty!!

Ostenda
1 Września 1850 r.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TREŚĆ RZECZY

ZAWARTYCH W PIERWSZYM TOMIE.

Strona.

Strona.

Wiersze różne: